

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Marian GRZEŚCZAK

Niebo jaskółek

Liryki wybrane

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Copyright by Marian Grzeńczak

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ja i domy doskonali jednako

takem już z tymi murami brat
oddajemy sobie zmęczenie
doskonali jednako

aż

rozerwą się ściany
kamieniami mnie znowu napadną

i nim zdążę dopatrzeć się szczytu
niebotycznych lepiarek

spadną wraz ze mną

n

a

d

n

o

blues

anno anten moich

łapy kocie lepią się do dachów
posypanych żwirem lepkie słowa
opadają za widnokregi słońca
zwielokrotnione na szybach

anno z kolczykami balkonów

tłusty szczur przebiega ulicę
moje codzienne widowisko
koty wystraszone cieniem dymu
płaczą staruszki wysypane na trotuary
jak łupiny śliwek

anno wyobrażenia

kobieta niesie spojrzenie
uśmiechniętego anioła upadłego
modlą się oczy tłumu
tramwaje straszą kołami

anno najjaśniejsza w knajpie

idą pochwyceni w lesie domów
ścieżki rynien żywicą pod stopy
idą pochwyceni aż ich ciemności nóż
rozetnie a wyżej krzewy dzikie błyskawic

anno o zapachu mleka

sklepikarka odprawia mszę zgiełku baniek
wrony w chustkach wyciągają po ser ostre ręce
oto zabawa w sprawiedliwość konfitur i baraniny

anno dla której wszystko

wymykasz mi się na 23. piętrze życiorysu

—
—
—
—
—

tu jest równina mrówek z ogromnymi głowami
pan bóg z mefistem nad nimi trzymają miecz durendala
słońce kiedy łagodne podobne głowie meduzy

w kaloryferach gra teraz filharmonia
sowa radia z basem jak skrzydło krucze

ogranicza mnie przestrzeń
sześcianu ograniczeń
dusi mnie muzyka ciężaru ciała

od soczystych drzew uciekłem
od pól równinnych uciekłem

w zakurzone pory miasta
uciekłem od uproszczenia
chłopskich przysłów mądrych krajobrazów
w kaloryferach gra teraz ich muzyka
wiedzy platona dzwon srebrny
tukydydesy stylów biblie imion
przemijają magdaleny i marie
święci i prostytutki ukrzyżowane
wymyślonym człowieczeństwem
które wiatr już tylko niesie
przez astronomię godzin
za oknami cyrenaicy rozumni
i cynicy jak we wszechświecie szczęścia
dziewczyny i staruszki z jabłkami
mlekiem winem

w kaloryferach gra teraz ta muzyka
palce moje zaciskają się na szyjach
supervielle'a i tżary marinetti
kurczy się pod nożem obojętności
łatwy leopardi daje się zdobyć
piecom mądrym jak wiersze ezry pounda
dramaty Szekspira krok nerudy miękkość halasa
zaciskają się palce dla słowa jednego
anna

tu jest równina mrówek z ogromnymi głowami
pan bóg z mefistem nad nimi trzymają miecz durenala
słońce kiedy łagodne podobne głowie meduzy

uciekam przed natarczywością
groźnych balkonów betonowych
okna na którym wypisuję
z a ż e k a j e z d g u r a
rzeką umysłu einsteina
góram jego dopełnienia
uciekam przed anną kiedy
słowa nie powie bo spalone
przed szczurem i głosem kota
uciekam po lepkich dachach
wysypanych piaskiem
uciekam od ziemi z kajdanami szyn
od muzyki kaloryferu uciekam
goni mnie moja mała podłoga
goni mnie łaza einsteina
błysk słońca na szybie
w kraju dalekim gonią mnie
krzyże ciał magdaleny i marii
goni mnie natarczywość każdej ściany
świata

tu jest równina mrówek z ogromnymi głowami
pan bóg z mefistem nad nimi trzymają miecz durendala
słońce kiedy łagodne podobne głowie meduzy

kategoryczny imperatyw mój
doskonałość materii przez rozum
coraz prościej żeby się zatrzymać
na piętrze 23.
żeby nie spadać

nie dla mnie prawa
nie dla mnie moralności

empirykom mądrym
poza
ojczyznę narodem ziemią
bogiem poza konstytucją sumienia
poza schodzeniem poniżej

nie dla mnie
z grzechem ciężenia

tu jest równina mrówek z ogromnymi głowami
pan bóg z mefistem nad nimi trzymają miecz durendala
słońce kiedy łagodne podobne głowie meduzy

anno coraz dalej ode mnie
jednak coraz dalej mimo
małość twoją kiedy oczy prostytutek
nad tobą jak łagodne mroki
zapomniałem ci anno
powiedzieć kłamstwo
komu ja teraz wypowiem kłamstwo

anno od mojego czekania
przechodzą obojętni przechodzimy obojętni
dobrze nam być obojętnymi
dobrze nam uciekać w obojętność

anno chciałem ciebie zatrzymać
przeciw słowom których nie znalazłaś
które się kurczą jak łupiny śliwek
porzucane na trotuary miast
przeciw cieniom palców
przeciw równinom dachów

anno chciałem ciebie zatrzymać na ulicy pragnienia
tam gdzie wrony Weronik
święte przebiegłości

to dobrze to dobrze czuć zapach
rozkoszy przed cierpieniem
tramwajarz kiedy nie zdąży
zahamować
dziewczyna kiedy nie zdąży
doświadczyć
filozof kiedy nie zdąży
domyśleć
są sobie podobni
w niepewności

to dobrze
to dobrze

anno spadająca

—
—
—
—
—

tu jest równina mrówek z ogromnymi głowami
pan bóg z mefistem nad nimi trzymają miecz durendala
słońce kiedy łagodne podobne głowie meduzy

a n n o —————

gdańsk, grudzień 1955, nowy port

rano, przystając w podwórzach slumsów

w odorze podwórz hymny
pieją koguty czerwienne

tekturka nieba przykryła
tunel wzwyż pomyślany

niebo kiedy przed świtem
zweża się ponademną

noc we mnie wpełza powoli
zbladłymi gwiazd pajakami

zaraz mnie niebo głodne
pożre w odorze podwórz

odda zatechłą nocą
posną koguty czerwienne

miasto, ulice, place

Rzeki powietrza
o głębinach kamiennych
dna ciężkie
gdzie w zagięciach betonowych korzeni
przepływają, mroczniejące ryby ludzkie

Jeziora powietrza
z nieborostami zielonymi
pośród których
z brzegu na brzeg
kraby cywilizacji –

Rzucony równinom polnym

umieram

któremu odebrano rzeki powietrza jeziora powietrza

któremu odebrano brzegi
plaże asfaltów
skąd widzę:

na skłonach nieba
nieruchomieją statki dachów
z kominami u den

widzenie przedmiotów martwych

Usiadłem flegmatycznie na ogromnym kamieniu
Może to było miasto pamięć w mroku mnie opuściła

Gdy się już wyzwoliłem z pejzażu
zacząłem trwać jak dźwięk
na widnokregu własnego widzenia

Miasto wtapiało się w miękkie dłonie ziemi
przepływała przez nie rzeka z południa na północ
domy ogromniały w oczekiwaniu dotyku nieba

Im dźwięk mój podnosił się wyżej
księżycowy krajobraz doskonalej martwiało

a gdy bloki z dzielnicy slumsów
zachwiały perspektywą i stawała się mgła
z widnokręgów własnego widzenia
na powrót wstępowałem w pejzaż

Siedzę ciężko skamieniały zgłaziąły
miasto przenikający

Ani syzyf ze mnie ani krasnoludek

ballada o drzewodomach

tu mieszka stara kobieta z myślami w niebie
pająki umierają zapatrzone w swoje ofiary

powietrze tu jest stężone zda się przypląszcza płuca
w maju spadają chrabąszcze ale są martwe

po wymuskanych ścianach wspina się czasem wiatr
wtedy się dzieje muzyka dziupli lecz to trwa krótko

powyżej jest już pustynia po której wędrują dźwięki
stąd ich jednak nie słyhać smużkę białą ledwo dostrzeżesz

drzewodomcy się także chwieją najlepiej widać gdy stoisz
oparłszy głowę o szarość co dopiero wyrosła z ziemi

wtedy dziwne to chwanie bo wiatru nie czujesz chociaż
coś za plecami trzeszczy i coś stęka głucho pośrodku

a gdy się zdarzy burza co tu ma sens jakiś inny
połamie wszystko u kolan stopy zostawi ziemi

mówię wtedy dla mnie jest to bardzo zwyczajne
i nie znajduję ciszy lepszej niż spoczywanie

lecz gdy jest mi nazbyt pustynnie modłę się do tych którym
przykazano władzę nad ogniem choć wiatr jest im nieposłuszny

boję się jakoś zwyczajnie że motylowi nieba
opalą skrzydła a przecież po co mi taki motyl

(— —)
więc gdy anioły fruwać po jego błękitnych kolorach
modłę się do aniołów i drzewodomcy wtedy
nieruchomieją na krótko

głos wszakże mam bardzo niezwykły

ballada o kole

znajomi moi z baru i ci którzy przynoszą mi pojedyncze noce
rozległe z cynowej barwy i zapachu piersi albo
podróże kiedy z kotwicą złotówki metalowej odpływam w morze wytrawne

ci którzy hostie kwadratowe biletów sprzedają dzieciom i staruszkom
którzy opowiadają okrucieństwa wszystkich kół tramwajowych

twarze ich nieruchome jak słoneczniki w południe które obsiadły muchy
niosą ciałom mrocznym chłodnym tunelom materii i zmysłów
małeńkie swoje i zawstydzeni uciekają w przykazania zielone
oni w śniegu sadzy pomiędzy kopciami kominów
przykrywający gnaty tłustymi albami kombinezonów

także ci którym w południe zamykają się usta i oczy
którzy gazetą przykrywają twarz przed słońcem
którzy o piętnastej niosą ciężkie skrzynie z towarem wyborowym
albo kończą rzeźbić koła metalowe mniejsze niż horyzont ale cięższe
miłośnicy świętego mefistofelesa doskonałego

także grube właścicielki ogromnych stad czerwonych pomidorów
i fioletowej kapusty na procesji straganów
kochanki zameżne których adresy w licznych kalendarzach

uszom ścian
konfesjonałom biur z papieżami świętymi z monstrancją kałamarza

co przynieśli

wyrzuceni na brzegi jednostajne jeziora
kiedy ich bóg doskonały mojżesz
(– —)
laską do źródeł szczęśliwych pozaganiał jak barany
kiedy ich źródła pijane zalały albo metalowe
z krzykiem przerażenia potem ciszą

komu przynieśli

po co przynieśli
znajomi moi z baru i ci którzy

requiem dla prostytutki

kiedy uśmiechasz się do mnie
śmiechem zakonnicy zawiedzionej

przyjaciele w pieczarach przedmieść
rozsypują się zapalkami płoną

płomień wyżej sięga niż sięga

sięga wyżej niż wyżej

przyjdź dogasająca

zda się
jesteśmy nieubłaganie konieczni

przyjdź pochodnio

w oczekiwaniu świtu
nim mi w oczach słońce rozbłyśnie
powiem żeś jeszcze nie ta
ale pełna zachwyty

Poznań, 1956, wypędzają

golemy, kiedy budzi się człowiek

wywiodły mnie na żer
rzeźnickich cechów szyldy
zawieszane na jatkach
garbarnych dzielnic cuchnących

wietrząc kędy by dopaść
jadła kostnego z rynny
od trzew swych nie umiem odegnąć
sfory szarpiących zapachów

już obkoczyły mnie ciasno
erynie współczesności
będziemy żreć się i szarpać
kiedy jadła nie stanie

wielkie ich łapy znad jatek
wznoszą się łuną znad szyldów
potężne ich łapy pełgają
uzbrojone w okrwienie

jest ich już tysiąc i tysiąc
ale nie wiedzieć komu
są te ich ruchy ciężarne

wielkopolska

zielone znojowisko modłów
wieże szturmują niskie niebo
żebrak pod płótem pieśni pieje
nie taki bywa jak u breughla

tu gallem anonimem straszy
spóźniona pora wyobraźni
a na pagórkach się rozsiadły
wiatraki ojców franciszkanów

nocami diabli wieją polem
w zagony sypią mak i modrak
przez rżyska biegnie kusy pies
starucha odpukuje w odrzwia

tu za horyzont pełźnie smętek
i bóg się modli do aniołów
wiatyk roznośzą po ulicach
chłopcy co w fałdach płyną czarnych

śród pól gdy buraczanobure
i ziemia łasi się do dymu
bóg by zapłakał gdyby umiał
butami w to królestwa wejść

Wspomnienie Nochowa
1957

Mrok

Noc przyływ milczenia

Odchodzimy od zmysłów

Łzy spadają na lustro
niemą twarz przedmiotów martwych

Na ścianie tańczą cienie
żyjące poza wszelkim kolorem

czarni kochankowie

Noc przyływ milczenia

Odchodzimy od zmysłów

wrzesień 1952, Jarocin

skończony romantyzm

czas już już czas
zejść na równinę porozumienia

przybliź swoje źrenice do moich

widzisz mnie źle

tak – to jest to
– umarłe miłosne myślenie

to już dziś
mówię ten wiersz
dla pamięci uschłych gałęzi
piszę ten wiersz
jakbym wymazywał strach odwagi z twarzy

Jarocin – Śmielów, 1953

dźwignięty wzwyż

coraz to szerszymi kręgami
coraz to wyżej
dźwigniętego wyrzutem
dłonie ziemi
podają w bezhoryzont

trwałem tak jedno zamyślenie

– nim bezruch wszechświata
stał się świadomości posłuszny
z żyznej w fiolet pustyni
zatęskniłem za przedmieściem
gdzie za dymami – wszechpola błękitu
wierniejsze niż ta szarość
która mi teraz gwałtownie maleje

ziemia od miast

ukszałcenie czyli cenzura czerwca

wariant 1

przemierzyłem dziś miasto od wzgórz słowiańskich
aż po wysmukły szczybiec kościoła bolesnego
z pewną łagodnością przenikały się ruchome pejzaże...

oto rzecz każda prześwietlona od drobnego kamyka
po wysmukłe góry posłuszne krajobrazom
każda rzecz jako drut
 jako okno
 jako mur
 jako stalowe zawężenie konstrukcji
 bryła powietrza
 czas

...z pewną łagodnością przenikały się ruchome pejzaże

ich podróże wysokie od delikatnego muśnięcia światła
aż po ostrość konturów
– jakbym przywoływał dziewczynę o przeraźliwym imieniu
a w tęczęwkach odbił się jej blask
i wszystko pozostało nieruchome –

jest zatem okrutna pewność w rzeczy

wariant 2

pragnę słowu zachować całe jego wnętrze skomplikowane
nie – żeby z zachwyty – lecz – żeby dotknięty palcem kształt

kiedy ledwo wyczuwam jego wnętrze żywe i dokończone
żeby kształt był słowu pełen
żeby go przecięło ostro

wracam z mojej podróży szerokiej
z pewną łagodnością otaczają mnie kształty surowe

jest zatem pewna nieśmiałość w słowie

Poznań, czerwiec 1956

Wydmy węgierskie, 1956

zółwie wymarłe przedmiot głośniej wzdardy
oporne wiatrom śmieszne termitiery
piach w lejach dłoni koni wzdęte zady
trawom kneblują szeleszczące ostrza

więc najciszej na puszczie oblazłej rdzą bawołów
tam gdzie czikosi w płacz uderzają jak w szkło
dźwigam swój krok po ziemi zbitej jak deski trumny
tu w paryżu żurawi milczenie matki poety

jak przekreślony krzyż
przechyla się w stronę śmiechu

Argumenty, metafizyka dzielnicy

1: Wciąż ciebie szukam już mi się drogi staroświeckie stały nieprzyjazne

2: Otwórzcie się dłonie przechowujące skrawek dymu spalonego włosa

Otwórzcie się oczy zasypane

Skóra moja jest lekko sina i zarazem nieco nabrzmiała

Musielście już widzieć to mięso nawiedzone gazem

1: Wciąż ciebie szukam

2: Kiedy mój cień o świcie podpełza pod brzeżek snu

Miasto rozkwita rzeźnią

1: jednak tego dnia nie dojdę do ciebie

Od katedry piotra i pawła aż po lunatyczny park nad jeziorem

Prowadził mnie stary epikurejczyk pies wszystkich moich podróży

Tu leżą kości – mówił – pozbawione więzadeł

Tam – mówił – skobel księżycy proszę się na nim powiesić

2: Nie mogę niestety przerzucić nawet pętli spojrzenia

*słońce*¹

płonące włosy –
słońce we wszechświecie pokoju

wydłużają się płomienie rzęs
przed oczami planety szaf krążą
planety tapczanów krzesel planetoidy
coraz szybciej białymi smugami
poczyna się droga mleczna
z oczu które pękają wypływa treść
chłodnego patrzenia zwiędłe róże mięśni
wyprężają się opadają płatki skóry różowe
zachód płomieni coraz niżej ręce rozdrapują
popiół w krzyczącej równinie pokoju

na twarz kruchą jak wypalona zapałka zaciągam
niebo prześcieradła bezpomocnymi palcami

¹ zyrafę dał Dali.
ja siostrę.
spłonęła w roszarni,
płakać

Granica czerwonego

Krzewie drucie łagodny
I ty drobinko sekundy w winogronie oka
Trawo traw mięśniu mój wzdęty i czerwony

Nam już czas tlić się powoli
Dokonanie kamienia w przyjaźń

Więc przeprowadziłem krzewie profil jej w każdym okaleczeniu
Jej pieszczota przebiegła mnie mchem łapek zająca
Szelest dymu przywrócił łzę moim oczom

Wiatr mnie przewierca dotyk oszalały

Drucie łagodny rano w słoju krtani
Kropło ołowiu o zapachu rynny
Czarny kominie o fiołkowym oku
Rzeko zapadła w kurz

Yorick

Nie mów nic to jest kwiat uszanowany
Może nazbyt ostry jednak biały
Wyrwany z dna ziemi
Pozwala się bez oporu przybliżyć do ucha

Ta czaszka tylko Hamlecie twoim łodygom palców
Przejmująca wyblakłość skroni nieustępliwe szwy
Bo tu wszystko Hamlecie łapy i różne robactwo
I w Elsynorze wszystko łapy i różne robactwo

Nie pytaj mnie Hamlecie dlaczego cmentarz cmentarz
Dlaczego Ironia tak dziwnie zwisa nad grobami
Grabarz dlaczego zwykle milczy najuczciwiej

Nie pytaj się nikogo
Człowieku człowieku

Straszliwie naga

Czytam cię wspaniale
Od najdrobniejszej kostki palca
Od włosów spadających w skórę
Od rozluźnionych słojów mięśni

Stajesz w źrenicy lustra Jest
Przedłużenie kształtów i ta siność
Z jaką malował Modigliani
Nabrzmiałe ciężko plamki piersi

Więc znowu ciebie czytam wspaniale
Jest we mnie pierwszy kruk twej sukni
Poznać go trzeba po opuchłym gardle
Rozebranym prosto w twoje oczy

Naramowice, stacja orzechowa, 1957

konstrukcja

oto jestem cierpliwy i wyczekujący
w pieczarze mojej wszystko zwykłe i rozważne

*

przypięte wróblami do drutów
suszy się powietrze

tam stół kamieni obrus blachy na nim
wazon komina kwiat dymu w rozkwicie

na tym w zasadzie możemy pozostać

*

przyszła trudno pamiętać południem sierpniowym
słońce jest wtedy dojrzałe o leniwość kota

zapala mego okna ciężką czerwienią róży
jest to czas w którym gasną kwiaty pozostałe
słoneczniki dachów paznokcie dachówek

*

było to słońce bezbronne trudno je powtórzyć
weszło powoli i dumnie w bramę horyzontu
– dla każdej bezbronności otwiera się ziemia dobra –

*

było to również słońce wymyślone
zapłonęło i zgasło w samym środku miasta
– w mięsie moim kielkuje nie nazwana róża –

*

oto jestem cierpliwy i wyczekujący
ktokolwiek mnie tu odwiedzi ucieknie spłoszony
liść tak pozbawia się drzewa łza oka kobiety

*

planeta jeszcze żyje możemy pozostać

Poznań, 1957, Żółtodziób

Stanąłem obok szkieletu, żeby mnie malowano

K.G.²

Proszę stanąć nosem do piwonii
Proszę stanąć o tak drutem skrzydła
W kroplę gwiazdy
W lustrze liścia proszę stanąć
W sinawych żyłkach

Teraz będziemy malować
A najdłużej będziemy na żółto
Te wysokie kolory stóp
To coś z pudru coś z cienia pod okiem

Stoję stary pijak już ironią
W miękkiej czaszce niosę pruską zieleń
Mam w niej sposób widzenia zwierzęcia
Które gwiazdy maluje na łokciach

Biel mi zawsze była zbyt czerwona
Szyję miałem białą kruchy włossek
Cienką szyję z głową aż pod słońce

Potwór z liściem ugru w długiej pięści
Nieforemny zły z wysokim uchem
Oto stoję tuż obok szkieletu
w krzewie żeber krótkie gniazdo sławy

Podpalono mi pędzlem stopę

Tliłem się do źrenicy

² Poznań, jesień 1959, rozszyfrujmy: K. G. to Krystyna Gawrońska, malarka, moja żona

dzień gdy przyjdiesz³

dzień gdy przyjdiesz
już doskonalej
już – milcząc

przeskakujesz z płyty na płytę
jakby chodniki kamienne
– wibrafony pod twoje szczudełka

a gdy udźwignąć nie mogą
muzyka staje się drewniana
– ciężar milczenia

już –
w tym rozbieganiu
małym stopom
coraz to nieruchomiej
wyszedłem ci naprzeciw
coraz powolniej
czy to przestraszenie

już nie mącisz powietrza stopą

m i ę d z y n a m i m a r t w i e j e

przerzucam do ciebie spojrzenie podchwytyjesz

zachybotąło powietrze

opadają koszule ognia

wtedy zapatrzona
cała w kamień się przemieniasz

z przerażenia

³ czyli koncert jazzowy, Poznań, 1956, Komeda. Milian, Trzaskowski, Zylber. ja

Listopad

Pewnie wyobrażam sobie sny nierealne o ukochanej
Tam na mnie czeka przyjaciel za łyki dwa tęgie
Kwiat jak odciętą głowę – przeze mnie – poda dla ciebie

Jednak wierzę jeszcze mnie ogrzeją pierzyny dłoni twoich
Przekonałem się o tym dzisiaj mniej więcej
Kiedy mówiłaś mam ufać szerokim ptakom czerwonym

Niosę tedy gniazda pełne owoców

Ja com nad wywarem z borówek noc całą przemieszkiał
Wierzę w cierpliwy zegar i że czekasz na mnie wierzę
Nawet się upominam o ciało które nie żebym znał
Ale nawet dotknął

Pomiędzy moimi ulicami jest zawsze inna trzecia
Prowadzi mnie do baru nim zakwitnie róża dnia – rano
Muszę przyznać jest to całkowicie sprzeczne z moimi szlachetnymi zamiarami

Niosę tedy pełne gniazda ślepe

Dla ciebie którą zanim poznałem
Wyśmiał ów stary żebrak o prześlicznym srebrze za uszami
Nie ten z dzielnicy portowej ten niższy również do niego podobny

Najlepiej fortynbras kłamie kiedy chodzi prosto
Wiesz ten o którym mogę mówić jeszcze

Poznań, listopad 1955

blues II

w burdelu na Wierzbowej jak na srebrnym ekranie
czytam podpisy wyniosłe tynk zdrapuję paznokciem
wiszą tam świątki wiśniowe kruszy się wełna w swetrach
panno łagodna łożo panno łagodna łożo
łożo panno łagodna w ramie

a czy to starczy – spytaj –
a czy tu kochać – można –
a w nocy czy tu – powiedz –
a w nocy czy tu śmierć

w nocy tu słońce podłogi
a starczy – powiem – za słońce
rano tu róże kolan
a starczą – powiem – za księżyc

bawimy się pod księżycem
gdzie się marzy wysoko
i gdzie się nisko maże
księżycem w Griega gramy –

panno łagodna łożo
panno łagodna łożo
panno łagodna łożo

– namiętными pazurami

Karzeł

Na początku otrzymałem posadę czyściciela butów
Wystrojono mnie na ulana tylko za niebiesko co sprawiało że lampas przy lewym boku podobny był piwonii
Miałem się przed hotelem uśmiechać – w oczekiwaniu na trzewiki nie jest to takie łatwe
Po przeciwnej stronie był bar
Stółki podobne do odwróconych butelek okupowały spódnie o jakich się zwykle marzy głowom rodzin
Miałem ochotę celować w te tarcze napięte jednak w minucie ataku przychodziły trzewiki
Musisz myślałem glansować tak wytrwale aż dorobisz się kości
Po tygodniu przepiłem ulankę powiedziałem że mnie to gównno obchodzi i opuściłem miejsce naprzeciw baru

Potem byłem łazidachem
Ten fach rzetelny kosztuje drogo ale nie jest pozbawiony uroków
Spełnia się przede wszystkim pewna tęsknota do patrzenia na ludzi z góry
W godzinach znużenia udawałem cyrkowca
To przychodziło łatwo ze względu na anteny i różne płątaniny kabli

Pamiętam swój cień rozlatany na ziemi kiedy pęknięcie drutu zachybotowało mną tuż nad krawędzią i ci z ulicy czekali aż spadnę
Kiedy mi się to nie udało usłyszałem oklaski
Potem byłem kochankiem i czytelnikiem Platona
Po dłuższej przerwie zostałem oficerem rezerwy

Proszę mi wierzyć to nie jest praca łatwa ani nieodpowiedzialna
Przede wszystkim nie mogłem sobie poradzić z sumieniem które w tej sytuacji zachowuje się agresywnie
Najtrudniej jednak przychodziły rozmowy ze znajomymi
Każdy miał dom i pewne osiągnięcia cywilizacyjne a ja cóż
Uczyłem się na pamięć Villona urzędnikom wierciłem dziury w ambicji ośmieszałem ich wytarte zady i tłumaczyłem jak umiem zalety swojego zawodu

Ostatnio zatrudniłem się ponownie
Moja praca ma charakter specyficzny
Moja praca polega na tym że kiedy wchodzę do pokoju wszystkim się wydaje że ktoś właśnie wyszedł

Poznań, 1957

Rzecz precyzyjna

Narzucające się, okrutne w tym przeznaczeniu, głośne,
zmuszające do wykrętnych stylizacji,
domagające się przypraw szlachetnych,
nagie,

Katowane przez wzniosłych estetów za brak precyzji,

poprzez które ser w samym nazwaniu
niesie zapach i smak,

które stwarza pasmo wzruszenia
obok zwykłej płaskości,

Wojujące o szersze przestrzenie
lecz najmniejszej drobinie odbierające kształty czyste,

Jakież to wojny toczą się o tę płynność z jednej
o tę chropawość z drugiej strony,

Wypierane przez symbole przed którymi się broni,
nieugięte w zderzeniu z fizyką i chemią,

Łagodne i pozwalające się nadużywać,
niewyraźalne jeśli nie szukać dobrze,
istniejące wyłącznie dzięki kokieterii,

Jeżeli kwiat to piwonia,
Jeżeli drewno stół,
zarazem wspólne jak sprzeczne ze sobą,
więc
w przebiegłości nie mające granic,

Nie znoszące koloru,
z odrobiną barwy o znaczeniu umownym,
wszakże nic w tym ze sztuki,
to dwie strefy osobne i osobno dumne,

Serdeczne gdy rozpatrywać w kierunku
ściśle określonym,
A jednak,
jednak opisane zaledwie w zaułku, które wciąż widzę inaczej,
jakikolwiek,
przez niedyskrecję pomawiane o fałsz.

Dyskrecja

Zrobię to kiedyś w powietrzu o zapachu czystym
podnosząc dłoń ponad oczy przewidując strach
stanowczy lecz dający się zmylić jak dobry przeciwnik

Wiatr się zagęści oczy odejdą w głąb ciała
stateczność sprzętów będzie czymś mylącym
może dziewczyna westchnie w zimnym lunaparku
choć tego nie należy oczekiwać

Cokolwiek będzie
coś się na pewno stanie
coś się na pewno stanie

Egzaltacja

Przedłużyć ciebie blasku ikon blasku świec
Przeprowadzić przez czas przez wszystkie punkty nieskończone
Przez wszystkie światła przepłynąć dwiema kroplami gołębi
Odebrać słowom odebrać rzeczom

Twoje oczy zapadające w głąb
Twoje wargi w których się ciągle powtarza
Twoje biodra w których się ciągle powtarza

Rąk zbite psy
proszące

Doświadczenie

Tamto mogło się stać nim ożywiły się krzewy
Dopiero potem próbowałem umrzeć w okolicach baru marynarzy

Więc skoro nikt mnie nie dostrzegł
A mój śpiew to była najjaśniejsza część miasta
Więc skoro nikt mnie nie dostrzegł

Będę na ciebie czekał

Z pewnym uporem
Z pewną niepewnością

Kobieta przypomina dwie chwile podobne

Kobieta przypomina dwie chwile podobne

Ta jest co zatrzymuje zdziwienie chwila nieprzejednana

Kwiatem zawiniłem wzajemność wszyscy już o tym mówią

Przechylam się nad tobą jesteśmy najdłużej głusi

Ta jest chwila przekory nam sen niedostępny pod dachem

Szukając miejsca na ziemi gram o guziki z policją

Teraz jest jesień i zimno się kurczy w kieszeniach

Nawet o twoją dłoń upominam się niedbale

Widziana w blasku

Widziana w blasku o strukturze kredy
Otoczona przez wszelkie granice prawdopodobne
Kiedy odchodzi świat zwięza się
Pewnej jesieni wszystkie muszle zamilkły na jej widok
Grzbiety zerwały się z mórz
Przechodząc mijają siebie
Coś w niej przeszło na drugą stronę
Wszyscy otwierają palce na jej piersi
Rośnie im w dłoniach łza
Nic co prawdziwe nie znajduje wyrazu

Pejzaż rytmiczny

Bliski ziemi podobny owadowi w odpoczynku na skraju rozległego liścia – uniosłem głowę:

na początku był to czarny punkt wbity między niebo i ziemię jakby ktoś chciał rozerwać szczelinę horyzontu by widzieć szerzej;
potem punkt przemienił się w klamrę spinającą ostro skłon nieba z lustrem pustyni.

Podobna topoli brzegiem plaży przeminęła jakby mnie opływając chłopka bułgarska:
jej nogi cięły piasek;
zamieniała się w klamrę;
zamieniała się w punkt;
zamknęła horyzont ciasno i nieodwołalnie.

Neseber 1958

* * *

w którą przypadło mi uwierzyć
w którą zapatrzeć do znużenia

którą wargami wzruszyć nagle sól podpłynęła mi pod gardło
którą przybliżyć do języka blisko jak dno jest blisko wody
którą do końca zamknąć w sobie kamień rzucony w morze czarne

Burgas, 1957

Nadzieja nieszczęśliwie zakochanego

Pozwalasz się obłaskawiać moim oczom
więc gdy pójdę na wojnę przyniosę dwa
bardzo miecze nieznajome

Rekruci

Myślicie pewnie jest jakaś przesada w cywilizacji

Idziemy czwórkami
czwórkami to znaczy każdy z osobna i nie ten sam

Na piątym kilometrze piachu
wrzosi kieleckie dobiły do moich zelówek

idziemy czwórkami

Największy strach jest ten żeby wytrzymać
w skwarze i w rowach

Po trzydziestu godzinach dumy
uczyniłbym cokolwiek

Nikt z nas naprawdę nie umie pomyśleć
o straszliwej wojnie

Nie widzi siebie w nagłym błysku za plecami
choć zna to światło z lekcji pogładowej

A wy myślicie jest jakaś przesada w cywilizacji

Wieczorem pije się wodę
i czyta listy przy papierosie

Można myśleć o najbliższych
układając mundur polerując buty

Każdy ma swój karabin
ten staroświecki argument

Co sprytniejsi wyczyniają sztuczki
i śpiewają u okien pomywaczek

Każdy jest sam
to nie jest takie łatwe jak nam się wydaje w szeregu

Zamek

Czas jeszcze pogłaskać to zwierzę po pysku
to zwierzę obłaskawiane z dnia na dzień
z dnia na dzień

to kołysząc się w miedzi
w metalach szlachetnych

to które znam z żołnierza
sprawdzalne w sztabowej retorcie

Odejście

Hełmów z ażurami kretowiska
Armaty lawetami pod sierpy

Mój pułk jana pod okopami w stadach gruzu

Najprościej to jednak było na równinie bugackiej
Droga jak drut przeprowadzona pośród jelit
Salwa zachwiała ciszą w ten podwójny śpiew pułki

Mój pułk jana pod okopami w stadach gruzu

Rowy mi pod głowę ziemię płytką
Żółte włókna na skroni
Kapral jeszcze poucza dzielny nieszczęśliwy
Gdzie ja widzę ten odlot człowieka w niebo

Mój pułk jana pod okopami w stadach gruzu

Wszyscy pozostawieni gdzie oni teraz zebrzą

Pieśń kombatantów

Żołnierze maszerują zwykle w batalionach
Pośród drzew hełm przy hełmie rów przy hełmie
Trzeba się strzec nieba i strzec ziemi

Broniąc siebie wygrywa się wojnę
a jest to męska satysfakcja

I znowu świat jest piękniejszy
Żołnierze wracają zwykle po plutonie
Stara to śpiewka i nic nie da się ukryć

1. STATEK ULICY

Podobna wyspie nerwowa stal statku o której najściślej wiadomo szeregowcom W jej zawikłanym wnętrzu jest miejsce skąd widać człowieka najdokładniej na wysokości pachwiny

Pokrywa podnosiła się Było to jak otwieranie grobu Potem twarze skierowały się w stronę skąd przylatywały gazy łzotwórcze

chmury wydziobujące łzy

Obok mnie stał przyjaciel wierny clochard tego miasta

Była i zawsze wierna powiada W czas chłodu mogłem o nią ogrzać kanciaste palce

Więc stałem bezradny przerażony bardziej niż marszałek

Wtedy clochard zdjął but i zawiesił na wystającym szczyrbku muszki

Zrobił to śmiesznie zrobił to tak śmiesznie że usłyszałem komendę

odbezpieczyć erkaemy

2. OKRUCIENSTWO

Więc bawię się

Posłuszne palcom pozwalają się układać śmierci moje jedna na drugiej

O z jaką dokładnością nakładam kryzę na kryzę

To ważne mówi kapral to likwiduje zacięcia

Wiem

Teraz dokonamy rozebrania założymy zatrzaśniemy

Teraz muśnięciem szmaty odejmiemy lustrom pyłek

Jest pewne rozluźnienie sprężyn które pozwala czuć gotowość posłuszną mojej rozważdze i oku

Wiem

Teraz podniesiemy pod naprężone brwi

To wygląda tak

szerokim łukiem wyskakuje łuska

i bałamutne skrzydła rąk rozmącają powietrze

szerokim łukiem wyskakuje łuska

i bałamutne skrzydła rąk rozmącają powietrze

Pomiędzy znajdują się tylko cienkie sznurki gwizdu

Trzeba umieć odpowiednio pociągać

Trzeba umieć się śmiać między jednym i drugim spadaniem

Reszta jest zasługą cywilizacji

3. LINIA PATRZENIA

W południe skwar wpełchnął mnie pod kamienne schody
W płaszczyźnie źrenicy jak białe dymy przebiegały białe fartuchy
Potem mnie dostrzegł
Pojedyncze pszczoły otoczyły drzewo
Więc z nagłą te korzenie pod brzuch

Musiałem odkryć karty odkryć karty znaczy pomoc któremu odebrano krok
niechący wbiegł w czyjąś linię patrzenia
Został
Jego śmieszne oczy odpływały w szerokie niebo
Czy widzieliście już tak ostro rozdarte tęczęwki
Myśląc o was w całej swej okazałości stanowiłem możliwość triumfu

4. ROZPOZNANIE

Pamiętam tę twarz oblązłą liszajami
Twarz z przerażeniem które się odczytuje w oczodołach
Napiętą gotową na każdy krzyk
Twarz uległą temu wspaniałemu dźwiękowi który niesie w sobie zapach ołowiu i po
którym szuka się słów dla telegramów dwuznacznych

5. NIE WIEM

Kiedys w okopach nauczono mnie składać listy trójkątne zapocone onuce i pieszczoty
wobec najdrobniejszej stali
„która jest zawsze bardziej uczciwa niż człowiek”
Przychodziło mi to łatwo jak kwiatu kwitnąć
domokrażcy prosić
Teraz mam składać te listy stanowcze
Znaczyć na skórze śmierć
kreska po kresce każda z osobna fałszywa

I to przychodzi już łatwiej
niejako w pokornym zdziwieniu
Nigdy bowiem tak długo nie trzymałem palca na spuście
Jakbym zapomniał że najpewniej celuję w twarz

6. MUR

Mam stanąć Szeroko aż do bólu Jeszcze mi obcasami rozsuwają stopy W tym ułożeniu
mięśnie pozbawione są prężności i nawet się marzy bronić
Tylko dlaczego muszę rosnąć o ten cień rąk jakbym się oddawał Bogu
Widzę
stoją podobni przejmująco rozczarowani
Z okna naprzeciw patrzy dziewczyna jakby mnie rozumiała
Wtedy trzeba się odwrócić
Po przeciwnej stronie jest mur niski rozdrapany
Jakby tu ktoś przede mną śmiał stanąć oczekując wiadomego rozkazu

7. EPILOG

Proszę to powtórzyć mojej matce i mojej kochance
Najłatwiej wieczorem kiedy rozkwita nietoperz
Nasz żal kołujący nad głową

Na Nike warszawską

W listopadowy wieczór, w tańcu warszawskich ogrodów,
Chwieje się płomień drzewa w odblasku stearyny.
Fioletowe posągi, krzewy świecące i pewne.
Chciwe korzenie karmi jeszcze krew zabitych.

Te wojny mnie minęły. W słowie wiatr zaledwie.
W zaułku jeszcze baba z rybą w pergaminie,
W chłodzie cienkiej uliczki bieleją lampy koszul,
Schnące gwiazdy niedzielne. I to będzie skończone.

Więc teraz widzę, błękit wzięty z cierplivej rzeki
Na moim będzie planie położony najpewniej.
W szerokiej perspektywie plac biały ulice zawężli,
W rytmie podchmurnych bloków dachy wzniosą się wyżej.

Nocą domy jak drzewa rozkwitłe milionem lamp.
W majestacie ogrodu epoka światłobrania.
Dziewczyna o dobrych oczach miecz swój zmieni na kosz.
Miasto będzie zdobyte.

Warszawa. 1960

Dzielnica aniołów

Najpewniej wieczór wiąże się z gołębiem. Tam kwiaciarka się sprzedaje przed zgaśnięciem ogni. Tam się zakłada lampę. Tam wiatr dymem chwieje. I niby nic to. Niby nikt nie umarł. Gołąb szczęśliwy związuje dach z dachem.

Pytam starego a gdzie to się dzieje? Obcą planetę wskazuje mi stary. Pytam starego w jakiej to przestrzeni? Przestrzeń zamkniętą wskazuje mi kluczem. Pytam starego dlaczego w szeregu? I już mi buty od potu bieleją.

Jak gwiazda noc

nim stopami doświadczę
miasto pokrzyżowane ulicami

zamyślenie podprowadzi mnie
pod czołgi murów uzbrojone w okienne włazy

dom mój oczom pozostanie niechętny
tamte ślady
przecież nieobce jeszcze
pośrodku słowa jak gwiazda noc
zmilknę

przyjdzie do mnie ziemia od wody
od człowieka płomień przyjdzie
przyjdzie do mnie niebo od wody
od stron świata płomień przyjdzie

spadnie gwiazda noc w ulice
dla nóg
dla rąk
dla głowy

wielopłomienna

p o e m a t k a r m a z y n o w y

Czerwiec 56, Poznań, rano

Z dalekiego przedmieścia autobusy dziś nie odeszły.

Wyludnione ulice.	Droga wlecze się długo
Framugi okien.	Twarze gdzie wczoraj były kwiaty.
Fasady domów	Elementarze słów: chleba, precz, słów...
Dachy tramwajów.	Chóry śpiewów nie gregoriańskich.
Place.	Pręgierze czekania dopóki nikt nie przyjdzie.
Asfalty.	Drogi na zachód ślady opon w rozpędzie.

Przypłaszczonemu do ziemi pod drzewem wiśni gdy leżę
zza przeciwległej ściany ktoś owoców nastręcał serią.
Południe dopiero minęło, ptaki spalonych papierzysk
sfrunęły z pogorzelniska jak kruki legend serbskich.

Rannemu człowiekowi ułatwiłem żałobny telegram.
Telefon milczał. Szczekały gąsienice na bruk.

Krzyczącej: – wody – przyniosłem kilka wiśni strąconych.

Przyjaciół tyłu nie miałem jeszcze żadnego dnia.

Ukrzyżowanie

To było pewne mogłem myśleć o czymkolwiek
Jest szczerłość czasu która każe wątpić ostatecznie

Kiedy przynoszą piły topory i łomy
Jest w nich radość kształtu i użyteczności

Najdłużej czeka się na ból
Ten strach bardziej odważny od plutonu piechoty

Umbra

Mój szept mój pień czerwony mój cement nóg
Wszystkie moje drogowskazy pod gwiazdę wypukłą
Gwiazdę pomiędzy podstawą czaszki a podstawą celownika

Te pasma wzroku rozwijające drogi w pętle
W pętle przez które opornie przeciska się szyja
Mój szept mój pień czerwony
Pod łagodną gwiazdę europy

Pod gwiazdę szeroko otwartą
Pod gwiazdę błaznującą
Pod gwiazdę która wymaga cierpliwości

* * *

Żal mi was towarzysze polegli w cementowych norach

Ciebie siostró leżąca w cieniu drzewa wiśniowego
Ciebie kadłubie obmyty bryłko zwiędłych tamponów
Ciebie o twarzy nieznajomej lecz potrzebnej

Wasze źródelka czerwone wywinięte pianistym brzeżkiem
Wasze palce rozwarte rafy koralowe moich spojrzeń
Szare plastry waszych głów w południe brzęczących trzmieli

To z was wznosi się pył kosmiczny
Co jak wiatr przychodzi słodkawym
o zapachu morwy

Eroica

schodzą kwiaty żałobne martwe matki co cienie
pogubiły o wschodzie by nie odnaleźć nigdy
szare chusty szare szarfy szare szale
niosą sobie na grób byle gdzie byle dalej

schodzą powoli milczą żal im siebie i nie żal
śpiewać nie ma już komu stygnie grochówka w talerzach

1956

Tego samego dnia – trzy lata później, 28 czerwca 1959⁴

Stada kościołów z gzymsami pod nóżki gołębi
Ptaki niepewne meteory dachów
To przypomina noce pisania listów którymi przesyła się
śmierć z okopów

To z wiersza wymyka się spóźnione o jeden krajobraz koło
Umykające widnokreśli podrózne
Powoli jakbym się schylał po ziemię
Dźwigam

Dłonie moje rozumniejsze tak nagle
Łuski pełne łez płacz płomieni

To latające lustra odrzucane z ciszy w ciszę
To wiedźma żelazna podrygująca na bruku
Z piórkiem gołębia pod stopą
Stada szkieletów z lotu najwyższej żarówki

Więc tu ustawię dziś słowowskazy
Oczekując kto by je wytrzebił
W umówionej godzinie niebezpieczeństwa

Słowo mój nożu skazany na śmierć

⁴ Wypadki poznańskie, składamy wieńce na grobach ofiar

Prośba o różę

nad Szekspirem

Czy Hamlet jeszcze nosi różę
W wazonie przezroczystej twarzy

O Hamlet umarł ale róża
Gdzie róża
Skamieniały płomień

Ach jest w królestwie Lady Mackbeth czerwona nić
I jest w królestwie Lady Mackbeth potu kropelka
Prawo co pachnie naftaliną
I pewien zmysł rządzenia nożem

Lecz gdzie jest róża

Ach jest w zajeździe u Szekspira głęboka czerń
I rytm jest w hucznym tym zajeździe
Gdzie kucharz myśli jak minister
Laertes płacze jak Ofelia
Skóra sztywnieje z namiętności

Lecz gdzie jest róża

Kwiat zawstydzony i obwisły
Kwiat uwieszony stromo stropu
Jest w jego wnętrzu wyostrzony kolec
Okrutnie skierowany w moją potylicę

Pokaz, cyrk, władanie

Najdłużej trwały popisy z wytrzymałością czaszki
Gdzie zawsze widzi się włosy stanęły tym razem zelówki
Proszę wyobrazić sobie takiego człowieka
Posiada ruchomy majątek może nawet wóz
Zresztą nie każdy musi stawać na głowie i donosić o tym policji

Państwo nie macie pojęcia co wyprawiały konie
Zady łyse i tego spasione niosły z takim uznaniem
Że kiedy clowna zastąpił znany w gminie perszeron
Publiczność zaczęła ryczeć a tercet lwów nucił requiem
Tak pewnie ginęli wierni chrześcijanie

Więc przytłumiono światła pod stożkiem wzdętej płachty
Dziewczyna ścisła w biodrach zaczepiła trzewikiem o sznur
Panowie w czarnych tużurkach podawali ją z ust do ust
To stanowiło o istocie widowiska

Na zakończenie karły przednio tresowane
Oddajmy honor karłom w chwilę przed zaśnięciem
Bo kiedy pięknie trąba państwo zechcą się bawić
Będzie tu sztuczka z umrzykiem
Jak u Sofoklesa

25 XII 59

W ten pokój skąpy niewdzięczny od progu
Proste jest głowy do snu układanie
Miedź przy zwierciadle o bliskiej powierzchni
Poszukaj siebie

To jestem – użyteczny jako stopie plaża
Życzliwy ciałom kobiet z odrobiną wdzięku
To jestem – obcy sprzętom umrzykom i żywym
Prawdopodobnie szuler

Dachy ścigam co wieczór a tu wokół śmiech
A tu noc heraldyczna poplamiona gwiazdą
Jeszcze to piłowanie w kości w drewnie w murze
Strącające mnie w druty
 w kamień
 i karawan

Zaproszenie do wnętrza

Staszkowi

Moje wnętrze jest jasne i dojrzałe przedwcześnie

A moje wnętrze ścisłe gruchot szafy i klamka
Tam skobel dla kochanki czerń głęboka w suficie
Róża w środku pokoju wazonu wszakże brakuje

A tam czerwony piec a tam czerwona kość
Straszliwie oskrobana dla pajaków i rąk
I sopel bożej brody co ciągle nade mną zwisa
I duża czerwona kropla co ciągle nade mną zwisa

Tam jeszcze czaszka różowa różowa czaszka od konia
Puszka przejrzalnych konserw i obluźniony gwóźdź
Sweter zjedzony przez mole a tu ołówki i brzytwy
Proszę spróbować w przegubach żyły czerwonej i brzytwy

Moje wnętrze jest jasne i dojrzałe przedwcześnie

A moje wnętrze ścisłe gruchot szafy i klamka
Tu się kruszy powoli mięsień i mocne wiązadło
Tam deski mi już rychtują najpierwszy rzemieślnik w dzielnicy

Poznań, 1960, Naramowice

Tanguy

jaki on – ostrowąsy – uwielbiony wielce
pewnie jest to muzyka dziwna i zaszczytna
uśmiech pnie się wysoko po gotyckiej twarzy
i żeby było wyżej włosy stromo stają
co ma stwarzać – jakoby – obraz dynamiczny

a idzie tak osobno i takie niesie rozkazy
że ulicą się pręży i wydyma bruk
dymy nad kominami przystają zdumione
i schaby na medale przetapiają kucharze

Z Miró

pośród garnków i stągwi czernie stopy jak szkliwo
śmiech przerzucony wysoko za przezroczystą czerwień
najsmuklejsza łodyga zapuszczona w tekturze
rozlana w cienkie nerwy wymyślona przyroda

przy muzyce mumeyro tańczą w hiszpanii koło almeiras
tak odchodzi dziewczyna umiem ten krok przejmujący
tak układa się papier z najwrażliwszych stron drzewa
tak w cyrku stąpają konie może nieco dokładniej

w gorączce kiedy zamykam oko przed ostrą bielą
pod obrzękłą powieką skaczą mi twoje pająki

pająki radość piwnicy
życie przestraszone
ciała przepiłowane
tła

Budowanie

Na koniec znalazłem poddasze przy ulicy matejki
Mógłby tam umrzeć słowacki a nawet lautrémont
Taka pieczara co ma w brzuchu kafle
I dwa kaloryfery pod ścianą pilśniową

A w brzuchu ma pieczara dwa kawałki mięsa
Dwa są stropy drewniane oryginał sosny
Szumi dziewczynie sosna ja jestem daleko
Pomywaczka za oknem ja jestem najdalej

Tak wszystko jest na miejscu
Cała obrzydliwość że muszę o tym pisać
Gdzie mnie nigdy nie ma

Powiadam starej klucze biorę je w milczeniu
Tak mniej więcej codziennie o dziesiątej wieczór

Mogę myśleć o grobie bo tam nie ma światła
Ani wody tam nie ma ani demokryta

Tak wszystko jest na miejscu
I ja jestem człowiek

Nieheblowana deska i nic ze snobizmu
Może panowie artyści zechcą tu zamieszkać
Piła tu dla estetów sentyment w strugarce
I ołowiane rury jak srebrne armstrongi
Może się dudy znajdą i jeden poznanim
Instrument na cykorię i dwa kilo masła

I wszystko tu naprawdę stoi obok siebie
Może panowie artyści zechcą mnie odwiedzić
Będzie oda do słońca nieskończoność łezki
Z którą do twarzy bywa wszystkim optymistom

Wiersz jest szorstki i z kurzu nawet nieco serca
Bo nęci mnie ta martwa przestrzeń między dwoma
Powiedzmy prosto między

słowem
stołem

Nie słowem bo jest samo polem niedomówień
Nie stołem rzecz skończona i przez to tandetna

Czego tu więcej słowa czy więcej tu stołu
Pomiędzy mną z którego wysnuwa się przestrzeń

To już odkrył supervielle i sławił kosmosy

Wszelako jeśli mówię że jest nieco serca
Rozpatruję stół z punktu swojego doznania
I słowo rozpatruję w ten mniej więcej sposób

Stwarzam się słowostolem sam sobie na przekór
Tak zatem opisując głośno tylko myślę
Co jest daniem rzeczy własnych cech istnienia
W istocie idzie o rzecz trzecią i rzecz suwerenną

Ten krajobraz z heblami w czterech rogach stropu
Wypowiada się za mnie ułożeniem cieni

Ten gwóźdź wtłoczony w drzewo rekwizyt klasowy
Wypowiada się za mnie pochyleniem grzbietu

Ten świder który stolarz rzucił na biel deski
Wypowiada się za mnie samoistnym błyskiem

Ten brak łóżka brak krzesła brak szafy brak światła
Wypowiada się za mnie przez fakt nieistnienia

Wszystko jest samo w sobie skłonne do refleksji
Estetyka powierzchni kształt sprawdzony dłonią

Ale otwórzcie oczy i zapalcie światło
Tu nic nie ma prócz zimna i szczypty oschłości

Napiszcie teraz wszystko jak jest i jak nie jest
Że słońce tu zaczęte i że ja tu jestem

To spruję wam to słońce wełna po wełence

Nóż

Nóż połyskliwa ryba z płetwą rękojeści

Albo tak nóż

Ten większy przede wszystkim ostry król szuflady
którego przeznaczenia trudno się spodziewać

Znam go dobrze to mój jedyny towarzysz

Kiedy w szafie zabraknie baraniny lub sera
On wiernie czeka na czasy triumfu
On przypomina mi dźwięczną twardość złotówki
On kiedy białka oczu zaczerwienia się nazbyt
pozwala się miękko przesunąć po moich źrenicach

Palce jakiej kobiety delikatniej i pieszczotliwiej
dotkną powieki niż on

Dobrze jest mieć zaufany wierny nóż

Bywają dni że jest mi toporem pod korzeń chleba
Powiadam wtedy jesteś dla mnie dobry jak matka

Ale są takie dni kiedy mu powiadam
ty jesteś dla mnie dobry
poderżnij mi gardło

Leopardi

to ten
z żałości krzywą twarzą
władca pałacu i masarni
szorstki jak sól
ten niezły człowiek
dobry z najlepszych krawiec smutku

a jak on zszywa

dzień z księżycem
a kiedy noc to zawsze z nocą
a zszywa jak oślepy grajek
czerwone struny do czerwonych

a jak on patrzy

palcem dźwiga
powieki swe nasiąkłe krwią
zabity spada księżyc w bruk
z kochanki niedosięglą twarzą

a potem idzie

placze pies
pręży się w bólu ryba plaży
w powietrzu suchym ptaki płoną
i słońce zawiązuje niebo

St. Denis

Nauczycielka języków obcych w dobrym mieście Szigedvaros
Znam te wzdęte pagóry zderzenie epok religijnych
Dwie wojny przeminęły podmywając wapniste dna

Torturowana światłem
Zna dwie klęski człowieka najpełniejsze

Potrafiłem ją znaleźć na centralnej stacji kolei podziemnej
Labirynt schodów zamknął nas w ślepych korycie
Było to miejsce bezdomne zamieszkane przez kurz

: nasza droga była daleka, przez kraj południowy, przez drewniane ogrody, gdzie się
wyplata kosze, starcy grzali swoje suche stopy o zbitą glinę, wzdorliwie omijani, dziesięć
tysięcy Żydów, jeśli to wystarczy, po szczepieniach przyszła gorączka, całe miasto chwiało
się w stojącym upale, wreszcie zaczęli rozdawać papiery i, żegnaj Szigedvaros, ojciec i matka
zostali, starzy, kto może znać ich żal, jeśli żyją, sprawa nie jest tak prosta, dudniące żelazo
wlokło się za nami jak cień, pochyleni czekaliśmy na cud,

Tyle zdołała mi powiedzieć na stacji kolei podziemnej
Szybka przyjaźń otwarła ją w sposób nieprzyzwoity
Piliśmy piwo z plastikowych butelek

Ten wieczór należał do mnie
W drodze z Vincennes jak jej cień karpacki wiersz Ady'ego
To najpiękniejsze co o ponurych winnicach napisano

Szły nocne tabory z przedmieść słońce blakło już
Młodzi na tarasie przed pomnikiem Diderota pili wino
Moje życie było szybciej

: nasza gmina rozpadła się, ciągle było o kogoś za dużo, może wiesz, co z moim mę-
żem, nie, nie możesz przecież wiedzieć, co z nim jest, kilkadziesiąt razy zmieniałam pracę,
nie mówię o drobnych zajęciach, jak próba śmierci albo zbieranie gazet, jestem zwykła ko-
bieta, stara już, za stara na dobrą partię, gest żalu jest tu częsty, jednak to wszystko, każdy
pokręci głową i wraca do własnych interesów, to zresztą skończyło się już dawno i na dobrą
sprawę warto umrzeć, nie mówią głośno, ale ja to czuję w każdym z nich, widzimy się cza-
sem w szerszym gronie, jeśli tak można powiedzieć,

Na końcowym przystanku po wielu wahaniach
Opowiedziawszy co wdowa powiedzieć potrafi
Uśmiechnęła się

W czystym powietrzu zapachniały deszcze metalowe

Pcha mnie w tę strefę śmierć
Karabinowa kula skierowana przeciw czasowi

Błażej Szwargoł

idzie błażej szwargoł idzie błażej szwargoł

pan ksiądz mu hosanna i pikolak z bosa
żona zawiniątko błażej środa dzisiaj
z praniem mi pomożesz w pożyczonej balii

idzie błażej szwargoł z drzewcem i kosturem
idzie błażej szwargoł za daleko przecie

i z niemej niziny tryśnie czasem źródło

prowadzili go przez pięć ulic pustych
poruszał się we śnie brzuch miasta
prowadzili go przez pięć ulic pustych
a na szóstym placu zatrzymali znowu

za żelazną bramą zatrzymali znowu
pod murem jest szaro i żółto od trocin
kwitną na koszuli kwiaty postrzępione

wróciłem przed bramę nie umiałem zostać

obłok się przeciąga na antenach cienkich
niebo jest deszczowe i miasto już nie śpi

* * *

Obrazy bez wartości
Stare dzieje w ruchu iluzorycznym

Twoje rozległe państwo geometrycznych brył
Twoje zielone krople z lotu odrzutowca coraz szarzejące
Twoje potworki oszukiwane wczesnym snem zabijane
Twoje bulwary gwałtowne w państwową uroczystość
Twoje dwa na dwu metry szare tynki z cieniem
Twoje oczy czerwone
Twoje gniewy

Wasze żony otoczone sznurami
Wasze kochanki z wieczornych prospektów
Wasze ciepłe gniazda barów
Wasze wzloty szlachetne
Wasze pogrzeby

Idę z wami
Piękne zwierzęta buntu z wysp cywilizowanych

Sny wielkowiejskie

Obłoki nad kartofliskiem idą jak białe żółwie
Zielona grzywa omiata długą dolinę płynie
Dzwony dębów zwołują w stada leniwe krzewy
Zmierzch nawija koło pejzażu trybami chałup

1962

Czerwony, piętnasta

Ilji. Selwinskiemu

Śnieg sypie po stepie asfaltu. Jesteś mi bliska Rosjo.
Robotnice w kufajkach rozkwitają szaro jak piołun.
Wpięte w chmury pobłyskują gwiazdy w purpurze. Ptak
śpiewa w zegarach. Śpiewaj, siwowłoso, step. Ilja.
W południe przed mauzoleum kolejka się zaciska jak pętla.
Wróble szeleszczą na gałązkach.

1962

Wszystko tu nieprawdziwe

Wszystko tu nieprawdziwe krowa i kanał sueski
Dawni znajomi odchodzą w cień pozostawiają nam swoje protezy
Trumny jak historyczne zwierzęta kolebią się z miejsca na miejsce
Zawstydzeni
Jednak przechodzimy ulicą
Mijamy kolorowe
Malowane
W książce którą kupiłem
Znalazłem dwa kilogramy cukru
Kto będzie za to odpowiadał
Coraz trudniej znaleźć odpowiedź na pytanie
Pytanie na odpowiedź
Uczymy się historii czy też historia nas uczy
Wydobywamy narzędzia ze światła
O ileż trudniej wydobyć światło z narzędzia
Doceniamy mądre prawo względności
Morduje nas bezwzględność
Poezja wstydu

Chcemy przetrwać
Ustawiamy się do fotografa
Który na szczęście
przychodzi raz na wiek

1963

Powszedniość polska

Na placu wielkomijskim pod wieczór
Stada dziewczek pachnące fiołkami

W parku zabaw włóczędzy
wyczekują obok strzelnicy
są fajerwerki i wino

W piaskach pustyni pionierzy
piszą listy do krewnych

W gazecie uczeni prowadzą spór
jak uniknąć zagłady 130 milionów bydła kosztem 30 milionów bydła

W witrynie sklepu umazany robotnik rozwiesza na hakach
dwa wielkie kawały cielęciny
z plastiku

1962

Malowanie wołu, czyli powszechne rozumienie malarstwa

1

Namalować tak,
żeby namalowane oko
widziało samo siebie,
z powieką przy sznurze.
Zatem ułożyć w barwy
nie momentalny kształt,
ale jego ruchliwość w czasie.

Pomnożyć zobaczone przez oglądane.

Wyrażając przyczynę ruchu
rozświetlić bezruch.

Dopiero teraz malowanie wołu
zacząć od nosa.
od zapachu.
Zlewać krwią mięso,
kłaść farbę z taką cieknącą powolnością,
że w zgniłe płaty mięśni
wciska się szary sznur.

2

Zmarł jeden Żyd spod Mińska
który był pewien
że cięty nożem
namalowany wół
krwawi.

Lecz kiedy tego dowiódł
robotnicy rzeźni
postukiwali się w czoło.
prosilili żeby im sprzedał tego wołu kilogram
Machali tasakami,
mordują sztukę
do dziś.

1962

Przystanek końcowy

Zająłem miejsce w tramwaju który krąży po mieście
Nikt nie sprzedaje biletów stołek motorniczego jest pusty
Przystanki podnoszą dłonie lecz nikt im nie odpowiada
Na skrzyżowaniach bloki betonów falują jak grzbiety traw
Wiatr zastyga powoli tężeją miejsca po drzewcach

Prawdziwe są jedynie gazety
przed głowami przechodniów
których nie ma

1962

Ogarniając całość

1

Na skrzyżowaniach nawietrznych bezrobotne punktowce
grają na fletach lamp
Jest to gra przechodząca
z zachodu na wschód

Żarłoczne auta obwąchują latarnie żebra ulic
W długi pysk placu co się rozwiera w zaułki
blask lamp kapie

2

Wygnała z domu chuda dwudziestoletnia
owoc ciała otwiera
Nadchodzi punkt jesieni
i zakwitają kamienie

3

Biały robak karetki drąży mięsień przedmieścia
Rentgen czasu wykrywa w płatkach parku
nadchodzący krwotok liści
Wszelki ślad ludzki w tych układach
jest niewidomym znakiem

1962

Kazanie

Nie potrafię nazwać tego co we mnie, ponieważ ledwie to odkryłem, a życiu mojemu brakuje wszelkiej śmiałości. Kochając milczę i jest to znak najpewniejszy, że będzie miłość.

Cały ten świat czyli człowiek przez którego się przewala da się wypowiedzieć poza wszelkim obrazem. To nie czas wykreśla sztukę z życia, to wykreśla sztukę niechęć do czasu. Biorąc w dłoń chleb należałoby również wziąć w dłoń słowo chleb i krajać je. Tylko bowiem absolutne zjednoczenie słowa z rzeczą czyni je nawzajem pożywnymi.

Zawsze zajmuje nas konkretność, nigdy językowe odbicie – ślad po niej.

Wracajmy na nowe trakty, jakie wyznaczył nam czas. Oto jesteśmy u słowa głód i czyż chleb w tym zderzeniu nie przydaje mu specjalnego znaczenia? Teraz dopiero rozwijajmy świat jaki się układa w człowieku przepelnionym głodem. Każda nowość polega w końcu na znajdowaniu wyjścia. Chłap, chłap. Amen.⁵

1962

⁵ Chłap. chłap. Ochłap i ochab. Amen – cenzura wykreśliła.

Raport

Zaproszono mnie na przyjęcie do generała Musimy.

Adiutant setka wrzeszczał w drzwiach: w dwuszeregu zbiórka. do dwóch odlicz.

Proszę zapiąć tę haftkę, krzyknął generał, wskazując na różę.

Mam ręce jak talerze, więc róża na fajansie wyglądała jak befsztyk tatarski z kropką żółtka w środku. Albo jak krawat, kiedy trzymałem pionowo.

Ach, co za chryzantema, pisnęłam Mme de Musimy, celując w jajko na miękko swoim różowym paluszkiem. Ach.

To proszę, to jest skończenie piękne.

Mi podać. Mi, mi.

1961

Traktat

Jeszcze wracamy w przeszłość
Jeszcze wojny nas zdobią

W nowym stuleciu świat będzie chemicznie czysty
I sens życia określi przestrzeń

Garnitur który nosimy zużyje się jednak
I metalowa konstrukcja nie będzie już znakiem chwały

Jaki język wywinie się wtedy z języka grozy
Skoro starzy wymrą i świat nie będzie już do powtórzenia

Jeszcze szeleszczą w nas stare pieśni o posłusznych maszynach
Ale wykruszone z rdzy wojny z płam światła tracą na wartości

Jeszcze zagrzebujemy się w miękkie wiechcie pejzaży
Ale już niezgrabnymi łapami ścieramy kurze ze skał

Czy tak trudno zrozumieć świat który przyjdzie

Pomyślmy o sztuce
Co stałoby się z tą ruchomą i rozwrzeszczaną wieżą
Gdyby przez 150 lat brakowało wojny
Tego ustawicznego pozerstwa historii

Co miałyby do powiedzenia człowiekowi rzeczywiście wolnemu
Uwikłanemu jedynie w bunt przeciwko sobie

Co miałyby do powiedzenia
Gdyby nie musiała przesiewać kości
Udawać głodnego
Psa
Karuzeli

Jeśli mam dar powiedzieć:
Doszło tak za daleko
Że szczere kłamstwo nas wzrusza

1963

Pożegnanie Norymbergi

Jestem w gniewie nie podchodź pejzażu obiecany
Ani ty żalobo zorzy topolo ranna
Ani ty tęczo związująca ły
Już się rozwija we mnie kula sierści
Darowana każdemu

1960

*Zgromadzeni w muzeum*⁶

Zgromadzeni w muzeum przed obrazem w cienkiej fakturze
prześwietlającym zasnę księżną młodą Hiszpankę
dorodni rybacy cieśniny kattegackiej

przypominający połcie mięsa uwieszone za haki nosów
oczekiwali celnego w ich stronę skierowanego fotoaparatu

Tedy dziewczyna w różowej haleczce
namalowana przez Velázquez
podnosząc palec do ust zastygła
jednak nie po nią przyszli
tej pięknej zimy
w Warszawie

1962

⁶ tyle lat ten wierszyk oczekiwał stanu wojennego

Tren II, zamawianie trumienki dla syna

Łukaszowi

WYRÓB TRUMIEN J. B. i SKA W PIWNICY OBOK STOLARNI
UWAGA TRUTKA ZWAŻAJCIE NA DZIECI STOP PLAC JEZUITÓW
LODY CASSATE NAJLEPSZY WYPOCZYNEK NAD WODAMI
JUTRO ZOSTANIESZ MILIONEREM PLAC WOLNOŚCI SPRZEDAŻ BIŻUTERII
STOŁY MEBLE RZETELNE Z OBICIAMI WASZ TAPICER
PAKUŁA NAJLEPSZE SPOSOBY NA SAMOTNOŚĆ
TRANSPORT KOKSU DWA KURSY PIĘĆDZIESIĄT ZŁOTYCH
JUTRO BĘDZIE GOTOWE
WEŹMIEMY MIARĘ
CHŁOPIEC CZY DZIEWCZYNIKA
TOPOLA CZY SOSNA
ŻAL MI
BRYGA
JESTEM

1962. Poznań

Podwórza dłonie miast

Podwórza dłonie miast
podrzucają co dzień czerwone kulki dzieci

Kurz jak dym wyzwala łzę placu
spod rzęs latarni

Poemat o skuteczności patrzenia

Oczy mielące niestrudzenie
Płaski kamień pejzażu

* * *

Patrzę w ciebie. Jesteś oknem pejzażu.
Milczysz we mnie. Miłość mnie ogłupia.

* * *

Piękne we mnie, a więc nie istniejące.
Co istnieje, nie wytrzymuje porównania.

Akt

Gdy minie ciemność przychodzą kolory
Czerwony żółty i ten którego zawsze brakuje

Nikt nie potrafi odkryć światła
W jakim się spełniasz w czasie podróży imaginacyjnych

Po wielu stronach szukałem ciebie bezskutecznie
Wszystkie podróże zmogły mnie
Powrót nastąpił niespodziewanie nagle i śmiesznie jak zawsze

Więc teraz w ciemności jest kolor którego zawsze brakuje
Wiatr południowy dobiega naszych ciał sponiewieranych
W minucie chłodu nagły przypływ ciepła zmusza do wysiłki

Patrzę na ciebie zbielełą gotową przyjąć śmierć
Przestrzeń jest niezwykła godna barbarzyństwa

Kreska światła nad twoim ciałem podnosi się lekko i opada

Dotknięte ulega chwilowemu zachwianiu
Walczy o swoje prawda

Zbuntowane i łaskawe
Rozległe w sypkim wietrze

Wiersz nieskończony

Najcudowniejsze widoki pojawiają się zawsze o zmierzchu
kiedy oczy miast rozkwitają fioletem czystszy
niż zmatowiała od żaru przestrzeń

Wydeptując z uporem płyty chodnika przed domem towarowym
niecierpliwę się zanim przyjdiesz
upraszczając krajobraz

Podbiegasz w pewnej minucie
i oczy moje łagodnieją na twój uśmiech

Miasto podnosi śpiew
wyższy o nasz szept na najbliższym przystanku
linii pospiesznej

W poszczerbionym otworze okna
przez mgłę nasze coraz zmieniające się krajobrazy

Teraz przychodzi niecierpliwość
którą noszę w sobie ilekroć wiem
że to przyjdzie

W tym milczeniu zgrzyt zamka jest serdeczny
objawia nagłą bliskość której nie przeczuwasz

Tu jest twoje krzesło a tu moje
drobne kwiaty rozwijają się w twoje piersi które znam

Idziemy do siebie powoli i stanowczo
Stwarzamy ład najcudowniej objawiający się o zmierzchu
kiedy płyty chodnika niecierpliwą mnie zanim przyjdiesz

Palmy

Światło zalega równiny i ptaki wplatają się w pinie. Cień chmury zawisł nad skałą, gdzie winorośla na zboczach. Chłop pochylony w kurzu znaczy swój ślad, żadnego drzewa naokół. Tylko wysoko orzeł kołuje. Zalążek szmeru od skrzydeł poruszył nieśmiało trawy. Śmierć do nas podchodzi z równin. Gdzieś wiatr zawadził o dzwony. Zaraz się zejda do mnie wszystkie chmury żałobne.

Żegnajcie wdowy pejzażu.

Na przedmieściu, Ważyk

Na przedmieściu już nie syfon
lecz brak syfonu układa mi gardło
do krzyku

Ten który zlicza poległych
godny jest świec
albowiem ciało próchnieje

Wszystkie soki w te dachy
idą ze mnie

Świadectwem czasu
bywa słup do ogłoszeń

A jest to ledwie przecinek
w długim zdaniu ulicy

Ulicznica Polonia

porównywalna do anioła nieporównanie piękna stoi
ulotną mgłę na dłoni niesie obłok jej włosów ponad głową
różowi ciemną jamę bramy tędy jej żyły strugi deszczu
pod chmurną suknią cienkiej skóry ułożą się w łaskawą wodę
co zbiega stale ku jej sercu a wszystko zimno w poruszeniu
gdy trotuarem idąc milczy odbiega w ziemię ona biała
fioletem szminki kreśli pejzaż w którym jest tak doniosły
nastrój że portier się zamienia w dzwon
że w obrotowych drzwiach hotelu
czas się zatrzymał
jak w portalu

Metro

Jadą podmiejskim dawnym traktem na zachód
trzymają torby w rękach skronie dymią im brązem
Ci znowu grają w kanastę o duże jasne i pieniądz
Czapy im wiszą na rzesach w dłoniach gazety im wiszą
A znowu w drugim śpiewają do dziewcząt w różowych sukienkach
Kura gdacze w koszyku
Pachnie peklówka
Trefl

Odbite w wodzie

To nie komin dymi
to dym wlewa się lejem komina
idzie nisko
zdobi dno

Płatki much
zawisły nad ścierwem kanału
nad którym pastwi się
łeb żużlu

Robotnicy w kombinezonach
jak pnie starych wierzb
zapuszczają haki łap

Chmura idąca dnem powtarza wodę
omszały kamień
pastwi się nad swoim odbiciem

Wszystko się rozradza
pomiędzy fałszem i rzeczywistością

Jedyną funkcją tej przestrzeni jest cuchnięcie
A przecież żyją

To nieprawdopodobne

Domy u wodopoju

Domy zbiegły się w stado zdziwione sobą jak krowy
Mieląc jęzorami drzwi żują motłoch traw
Ogonami dymów odganiane brzęczą owady latań
Ciała krów krwawią łachami zleniałych neonów
Piszczące psy biegają nieustannie
Łbom krów zwołując rzekę
Okaleczoną źdźbłem
Tratwy

Budapeszt

Wczoraj opuściłem strefę XIII
Byłem zapewne niewdzięczny jednak nie mogłem inaczej
Stąd już bliżej pod pyszne fontanny pomników

Właśnie prowadzę kobietę

Margania
To znaczny liść który opływa woda dobrotliwa

Jak korzeń uwiązany ziemi
Przyrósł spłaszczony do dna rzeki i znieruchomiał

Właśnie prowadzę kobietę
Chcę dla niej być bardzo śmiały
Tak nauczali u żołnierzy w Kieleckiem

W płaskim kociołku nieba
Zanurza się wzgórze Budy
Kiedy się wspiąć nieco wyżej
Miasto zawile jak koszyk pełen dojrzałych światła
Pochwycić za pałąk mostu i odnieść albo wysypać
To barbarzyństwo wszakże nie miałooby żadnego sensu
Schodzę zatem na miejsce skąd Karpaty odbiegły na północ
Jak wystraszone bawoły

Ponad ich grzywą ostrą
Madziarski płacz Ady'ego

Żegnaj statuo światła
Z płachtą nocy nad czołem

Oto prowadzą kobietę

Milczenie

Ufam wam

Koło

Miłość

Tak opowiadają do dziewczyn pracownicy uliczni

Dobrze jest w tej godzinie przyznać im rację

Zaznali wiele śmierci i wybiegają po nocach

A ten nasz układ jak niespełniony sen

Gdziekolwiek staniesz nie ucieknę

Podaję ci dłoń przez drzwi

Które są zamknięte

Manifest

Pewnej wiosny drzewa obrodzą w liście w kolorze czarnym
W szeleszczące trumienki o które upomina się pamięć
W każdy pień wstąpi jesienna żaloba
Powiemy zatem że są to drzewa oszalałe
Strącając ptaki wyrzekną się chwiania
W purpurze chmur ptakopłomienie przepłyną fioletowymi smugami
A będzie tak ustawicznie wyżej że kwiaty skamienieją
Weź kamień róży i jakikolwiek inny znany tobie najcieplej

Ale i kamienie rozkwitną nieprzyzwoicie cudownie

Czyż kwiat krzemienia i kwiat węgla nie zapowiadają
Tych nowych układów i konstrukcji od tysiącleci

Trawy znowu odchyłą nam plecy piasków w barwach cynamonu

Na koniec ziemia wytoczy z siebie tęczę
Która będzie kołować w przestrzeni
W ustawicznej świętości

Inne strony Nochowa

Mury Uffizi
których nigdy już nie zobaczę po raz pierwszy
biegnący z drzeniem serca z Santa Trinita
skąd zapatrzony w podfruwającą rzekę
wspominałem
wczesną
młodość

Pochylony wiatrak nad wzgórzem
jak wzniesiony wysoko krzyż
na którym rozpięto pola zbóż
trzeszczące w upale

I to zawołanie do powrotu
jak dotknięcie dłoni o ramię

Wracajmy

Każdy do swojej Florencji

W muzeum Peggy Guggenheim

Tak zwana sztuka
to ustawiczne otwieranie drzwiczek
nie istniejącej klatki

Wypchany kanarek nie uleci
Wyschnięte słowo nie zakwitnie

Poszedłem
przyjrzeć się temu drzewu

W środku zieleni całe epoki
zmagania człowieka z kształtem

Kształtem jaja
Kształtem trójkąta

To oni odkryli
mówi biała pani
Co odkryli oni
mówi pani

Czas
Rzeźbę nierozkwitłą
Konia we wzlocie
Gałązkę Caldera

Patrzę
Oto ziemia

Szumia drzewa
Gałązka Caldera pobrzękuje
Koń Mariniego odwraca pysk od kanału
Czas podchodzi do brzegu
Wszystko jest udawaniem podobieństwa

Tak zwana sztuka
Tak zwana rzeczywistość

Wenecja, 1960

Lepra

Powiedział do mnie:
to szło z nich jak mgła
a ciało ludzkie
ach ciało przypomina mi jedynie
roquefort
byłby z tego reportaż
o słońcu zjedzonym przez pleśń
o niebie które oblaży liście

Powiedział do mnie:
ach księżyc przypomina mi jedynie
nerkę
chorą nerkę
podobną do mapy azji
byłby z tego reportaż
o ludzkich wnętrznościach
o miłości bez granic

Odpowiedziałem mu:
to idzie z nas jak mgła
kosmiczne pająki snują swoją sieć
a to z nas idzie do nich
z odrzutowca
z pocisku
z marszu
ktoś musi nam przypominać
że nie jesteśmy sami
piękne są nasze marzenia
żeby ozdobić świat
ale to idzie z nas
wszystkie miejsca na kuli ziemskiej
są chore
dopóki to nas owija wokół siebie
pieluszka wokół bioder
złoty strumyk wokół palca
ładownica wokół klatki piersiowej
głód wokół skroni
to idzie z nas
ponieważ nie jesteśmy wolni

kiedy wstajemy
paw kościoła leżąc na grzbiecie
łapami wież
drapie niebo

Próbował mi odpowiedzieć:
usłyszałem że to ja
mówię do siebie

Krażenie

Dawno z wami nie rozmawiałem ludzie chorzy
Błękitna jaszczurka przebiega przez nasze serca
Kiedy wybiega na światło czyjeś wnętrze pustoszeje
I metalowe robactwo kryje się w dłoni chirurga

W mroźnym błękitnie kwitnie biel naszych głów
Krażą tampony wokół posklepanych kręgosłupów
Długie nory pościeli przechowują nasze ciała

A potem mamy dla siebie po jednej pomarańczy
Która świeci nad codzienną nagością
Odcięta dłoń płynie za własnym celem
Kobiety w czarnych sukienkach stają się łatwiejsze
Coś przepływa
Niewidoczne
Stare

Wyznania

*T(adeuszowi) R(óżewiczowi)*⁷

Wyszedłem z domu
Ogarnął mnie wielki świat strach zachwyty
Czy istnieje jakaś ciągłość w naturze słów
Robotnicy uwinęli się przy wypadku
Ulica poszła w swoją stronę
Pomyślałem że nudzą mnie układy towarzyskie
Mitologia
Magnetofon
Szedłem powoli
Wyprzedziłem czas miasto
W tym miejscu wiersza
Powinno się stać coś tragicznego
Coś brzydkiego coś
Po prostu nie wiem
Czy to gdzieś nad nami nie krąży
Gołębiami
Księżycem

⁷ pierwotnie T. R.

Iluzjoniści

Kiedy otworzyć powietrze umyka kamień
Kiedy otwiera się kamień powietrze zbiega się w lustro
Forma otwarta zawołał Kolumb
Ziemia dzieło sztuki kulistej
Lustro
W nieskończoność owalne
ku Brancusiemu bile
Białe jaja
Forma wwinięta
Samolot
Zamknięcie formy
Otwarcie przestrzeni
Biały króliczek pod kapeluszem kosmosu

Rozwiązywanie przestrzeni

To
Trzeźwo powiedziane
Umrzeć tak
Lepiej niż wypłowiła katedra
Niż ziemia
Sterowana lotkami jej wież

Wyobrażasz sobie przestrzeń
W której kotłują się wieże
Kanciaste ptaki
Które gubią jaja

Dzwony wtedy musiały popękać
I stąd brzęczenie wiatru i fagotu

Uskładasz obraz
Z tych przedmiotów luźnych
Świat się nie zmienia

Ani kształt jaja
Ani kształt pejzażu
Miejsce dla wszystkich rzeczy rozwiązane
Ty je związujesz
Wokół własnej wieży

Nieco troskliwiej
Nieco delikatniej
Do uduszenia

Połowa prawdy – śmierć

Muszę o niej powiedzieć tak ciemno
I tak jasno że północ odwinie się w słojach
Jej forma wokół milczenia przypomina czarny garnitur
Najważniejsze żeby nie poddać się słowu
Jakże jest skore do prędkich łez
Ale ona staje wtedy przy zamku i czeka
A więc przypomina czarny garnitur wyczyszczony chemicznie
Który czeka na mnie jak oswojone zwierzę na stróża
Jajogłowy
Przy rozszalałych do requiem świecech
A także niech mi zaśpiewa banalną piosenkę
Jest to życzenie poważne
Jak trójkąt
Koło
I oko

Dzieci nie bójcie się lwa

Dzieci nie bójcie się lwa
Lew zna zasady pisowni i języki obce
Nauczy was algebry i prawa Newtona
Oprowadzi po mieście włączy telewizor
Nie bójcie się lwa i lodówki

To zwierzę oswojone
Wymyśliło bumerang i maszynę parową
Poddaje się prawu ciężenia prowadzi samochód
Wygrywa wojny z Księżycem i Marsem
Zna łacinę i tranzystory

Dzieci nie bójcie się lwa
Którego przygody opowie wam stary dziadzio
Nieśmiało spojrzy cichutko się złęknie
Podobny myszy z cienkimi wąsami

Choć wam się będą śniły długie noce
Cezar o którym opowiadał dziadzio
Bliźnięta oglądane w kronice filmowej
I łysa dama co przed lwem ucieka
W cienką poezję przejrzystą jak gaza

Nie wiercie łysej damie
Nie bójcie się lwa.

Trzydziestoletni mężczyźni

Trzydziestoletni mężczyźni
Już bez złudzeń jeszcze bez władzy
Zasypia w nas powoli bożek rewolucji
Przeięci wpół o twarzach zwróconych ku sobie
Karty do grania wedle reguł kalendarza

A sprowadzeni do wnętrza
Rozwijamy się w ostrych konturach
Składne są nasze płuca jak dwie dłonie złożone chorobą
Jesteśmy cali i dzieci nam kwilą z nadmiaru ciepła
Jest coś z gipsu wokół nas coś z choroby

Forma nas unicestwia
Linia obrzeżona laurem i nieco szkła
Galopujące nasze wieże i gra w miłość
Lecz cokolwiek pragniemy pozostaje martwe
Jest w nas miejsce na wiatr
Słowo na miejsce

Trzydziestoletni mężczyźni
Dobrze wybrani spośród lasu praw
Urzędujący z dnia na dzień na obu półkulach
Nasze klatki piersiowe jak wielkie megafony
Otwarto w nich kolibra zamknięto paragraf
W tym wyroku my sami
Skazujemy siebie
Sami
Siebie
Pas

Wołanie sępa

Co zrobisz jeżeli sęp nie przyleci
Co zrobisz jeżeli sęp nie zajmie twojego miejsca
 w oknie
 w łóżku
 w lustrze

Wbiegasz w ulicę
sęp kołuje ponad dymem włosów
Stajesz do auta
sęp marszczy powiekę
Leczysz wątrobę
sęp siada na tacy

Niosą go sztywno
wysoko jak czoło
przy twoim oku
z dawna pomarszczone

Co zrobisz jeżeli sęp nie przyleci
Co zrobisz jeżeli sęp nie zajmie twojego miejsca
 w oku
 w śnie
 w czerwonym

Zawołasz sępa
ulica kołuje
koło ulicy
sęp nad kołem czoła

Kiedy tak wołasz
w białym oknie
w mgle
auto podnosi
pożółkłe powieki
i sęp wątroby kołuje po mieście

Skulony miękko w waciaku jak w tronie
Odfruwa prędko ponad kłęb żarówki
Zawołasz głośniejsze przystanie na piętrze
Z bochenkiem w szponach z białego piaskowca

Katownie

Rozkazano nam przybić do brzegu
Wezbrana gawiedź
Rzuca w nas białe i czarne
Kamienie archontów

Zabrakło nam zgody
I opuszczone łodzie
Wiosłami kominów
Mącą niezdarne gwiazdy
Zaś pokonani
Prowadzą dialog z geologią

A także strzaskano
Stery punktowców

W algach anten
Kruszy się sucha zieleń

Wokół nas
Pulsuje złota żyła pustyni
Wielki cień ochry
Nałazi na wzdęty kadłub

Powolutku po wiekach
Odnajdujemy się w kubłach
Statystycznych

Przypominają biało–czarne
Kamienie archontów
Którymi grano o nasz los

Z alg wywiązują się płynnie
Kaloryferościany
Oblepiają muliste stropy

Długo
Przeciw prawu logiki
Lęgnie się i zagnieżdża
Oślizły tłusty
Szczur telefonu

Nawarstwianie cywilizacji

Telegram
Nakłada się na piktogram
Teleszczur na pitekantropusa

Wschodzimy
Ponad najwyższy pokład
Tu katujący ma łatwy dostęp
Do katowanego

Pokładamy nadzieję

Zwłaszcza że wybrani
Korzystają niekiedy z prawa łaski
Prawa łaski domowej

Drudzy wracają do wiosł
Wiosłują ogień w piecach

Ostatni
Których skazano
Ponieważ nie są dość silni
Udają ocean
Opływa ich wieczna zmienność

Tylko nieśmiertelni
Żuchwami pysków
Poruszają jednostajnie
Jakby się nawlekali
Powietrzem

Kara śmierci

A co zrobisz jeżeli ten ptak przyleci
A co zrobisz jeżeli ten ptak zajmie twoje miejsce
w samolocie
w oknie
w łóżku

jeżeli zaskrzeczy
w radio
w kościele
nad stadionem

Tłusty i zdrowy
o skrzydłach skręconych drutem

w stożku z plastyku
w kadzi krematorium

Co zrobisz jeżeli ten ptak zaśpiewa
Co zrobisz anonimie znaku nierówności

Ziemia
Zielona wątroba przeżarta gąsienicami
Sęp słońca wlecze w dziobie codzienny przypyływ
Wszyscy jesteśmy skazani skazujemy
Codzienny przypyływ śmierci
Codzienny przypyływ pamięci

Więc co zrobisz jeżeli nadejdzie data śmierci
W tej zachodzącej zieleni
Gdzie nawet zając straszy jak ruchliwa mina

Joanna d'Arc

Przywykłem do niej czytającej gazetę
Każdego rana szeleściło we mnie przepływanie snu
Boję się odwrócić stronę i pusta jest pościel wokół ciała
Wypada w końcu powiedzieć coś niesłychanie banalnego
Kiedy nadchodzi zmęczenie dostukuje się do mnie dzięcioł zza ściany

Muskam twarzą poranną chmurę o zapachu palonej oliwy
Jestem przyszłym kaleką śmierć mojej nogi mnie wyprzedzi
Zapewne będę umierał powoli i zwiedzę jeszcze niejedną Leukadię

Ale to jest moja decyzja do której nikt nie ma prawa
Kiedy otwieram powieki wybiega spod nich czarna kobieta
Woła do mnie jakbym wypływał z Hawru
Żegnaj stosie
Rouen

Grimau

Ptak śmierci przyływa po zejściu księżyca
Daremnie unikamy miejsc które sobie wypatrzył
W świetle dnia nasze życie jest czarne wyraźne

Zatem tokują nad nami rozwrzeszczane paragrafy
Wolność skora do bójki prowadzi spór z niewolą
Od stuleci krąży obłęd nad tą łamliwą skorupą

Ratujemy się dniem w ciemnych norach wstydu
Naszym znakiem jest nowa głoska głoska szubienicy
Ile świtów zapisano znakiem elipsy i pionu

A teraz Grimau który to już Grimau naszego czasu
Pobojowiska Grimau ziemie różnych szerokości
Nie ma na nich miejsca dla prawdy

Musimy się kryć musimy się wstydzić z ukrycia
Ptak śmierci przyływa w świetle dnia w świetle prawa
Dlaczego daremnie unikamy miejsc które sobie wypatrzył

A przecież jesteśmy w pewnych minutach spokojni
Patrzymy w niebo skąd napływają zawsze ci sami
Złe sny spadają z nich jak pióra

Sędzia
Kapelan
Kat

Geografia rzeczywistości

znowu po dniach odnalazłem swoje miejsce w jej ciele
rozkwita tynk i krew szeleści jak głód
ptaki nieustannie wiodą swoje głodne pismo na pergaminie chmur
to jest wszystko co widzę stojąc w oknie odwrócony do niej plecami
dlaczego nie potrafię napisać o miłości mężczyzny i kobiety
brzęczyk radia tkwi we mnie melodią o antarktydzie
książki porozrzucane bezładnie jak stare grobowce
przed rzeźnikiem naprzeciw kobiety więdną w śniegu
w oczekiwaniu na mięso
biały karawan wyczynia łuk na podwórzu omija czerwony ślad
stoję nagi i ona czeka na mnie albo myśli o chinach
żał mi sędzę że jest mi żal tych kobiet
na oknie leży bryłka kamienia skulony wróbel który ocalał w wybuchu
skąd ja to przywiozłem z jakiego brzegu z jakiego kontynentu
sędzę że jest mi żal tych kobiet i tych które ronily niemowlęta
powinienem wrócić odwróciłem głowę
ptak ognia wydziobuje z ich łon młode potworki powinienem wrócić
brzęczyk w gardle odzywa się starą melodią spirytuals
przecież ona czeka na mnie mam w niej swoje gotowe miejsce
płynęło w moich myślach wielkim cieniem
płatami chmur owijało mnie było białe i zeszone
gram od wewnątrz
wracam od swojego okna do naszych oczu
w piękną norę tej ziemi
robię miłość

* * *

Co ja dla niej stworzyłem tego dnia
Każdego dnia stwarzam siebie i zarasta mnie niezrozumiała choroba

O piątej nad ranem kobieta z Luwru wybiega paść
Czerwone konie uwiązane przy wieży
Idąc przez krzaczastą pustynię kobieta z Luwru
Upiększa się jej uśmiechem

Potem stwarzam ogromny las z białych i mądrych świec
Dymiące korony omiatają powietrze
W chybocie płomieni turkocze wygrzane ptactwo

Oniemiały kot swoim wysuniętym nieśmiało księżycem
Wylizuje rany przy jej uszach

Podłoga doskakuje do moich stóp
I podbiega ktoś obcy
Wymachuje rękami
Przepływa

Wtedy przychodzi ona z nieodmiennie suchymi dłońmi
Opowiadam co ja dla niej stworzyłem tego dnia

Jej włosy jak płaty płaczu
Zawinięte wokół źrenic

* * *

Nie wiem co zrobię kiedy ona zamarźnie
Kiedy przysypie ją sen w listopadzie lub w Bremie
Będę czekał do siwych włosów
Lecz może się okazać zbyt wcześnie
Miasta rozrodzą się i nie będziemy tak biali
Stanę przy cudzej twarzy w jakimś kraju nad głową
Co ja dla niej zaśpiewam tego dnia
Zapewne jednak przyjdzie do mnie
W swoim czasie o tym opowiem

* * *

Piękne ma naprzeciw mnie
Dwie całkowicie otwarte źrenice
Szop wokół jej czoła niepewny
Wzbiega jak śnieg po gałęzi

Białe wiewiórki śniegu
Z rozwiniętych ku fiołkowisku źrenic
Wysypują się w moje palce

Z nadmiaru czułości
Palce wspinają się bezszelestnie
Po gałązce jej pleców

Zgięta pod zapach kwiatów
Decyduje się wstrzymać na chwilę ruch ziemi
Przeprowadza mnie bezpiecznie
Przez czarny tunel
W którym szeleszczą umarli
Łodzie bez skrzydeł

Łodzie wloką za sobą
Śpiewający tobół
Głowę Orfeusza

Odcięta
Powtarza wciąż
Swoje o! o!

Co może być
Przecuciem śmierci
Pożądaniem
Strachem

Kiedy zbieramy się z pejzażu
Chwieje nam się ziemia pod oczami
Oczy nam się chwieją wokół kolan
Wreszcie sami popadamy w chwiejność

Eleusis, 1965

Stałe zajęcia

Kapie na mnie z powietrza niebieskawy olej
Oczy moje pochłania kreska twego ciała w ulicy
Zbyt wiele czasu straciłem na przygody miłosne
Żeby teraz podziwiać jakieś piękno jakieś wzruszenie
Przyszedłem do swoich miast i powiedziałem
Nie udawajcie zwierząt za wiele jest ludzi wystraszonych
Patrzyły na mnie jakbym wrócił z zoologu
Z pełnym placem przy pyskach
Oczekiwały pozwolenia
Straciłem na to pół życia
Grzebałem się w tym jak tragarz
Ostatecznie interesuje mnie
Nie to jak było
Ale jak będzie

Kobieta nie przyszła

Kobieta nie przyszła
W moim wieku nie kocha się księżycy i psa
Ufam prostocie

Oto ściana z gazet
W rękę trzymam widelec i nóż
Naczynie pełne dymu rozrasta się we mnie

Idę ulicą
Prowadzę samochód
Lecę odrzutowcem

Przedmioty i czynności
Jednostajnego świata
Skryta w nich rzeczowość
Umożliwia powrót do równowagi

Mogę powiedzieć spokojnie
Moja gorycz jest iluzyjna
A mój ruch prawdziwy

Kobieta nie przyszła
Kupiłem parasol

Rozwiązywanie sprzeczności
Skrócony powrót do równowagi
Ciemna forma goryczy
Lub prorocstwo deszczu

I to okrągłe skrzydło
Skaczące po chmurach
Wlecze mnie w jej stronę

Złoty nietoperz
Spłoszył się pod niebem

Poezja w tym obrazie
Zależy od czasu
Do czasu

Piękny epizod

Gniazda poszukują swoich ptaków.

*

Ale tego pejzażu z kamieniami o siwych włosach,

Ale tego pejzażu _____

Jesteś jak anioł, który odwraca głowę.

*

Zakwitają oliwka i groch.

*

Moje ciało,

Jak miejsce po uderzeniu kamieniem,

Boli, ale istnieje.

W ciągu słów

1

Zarys tej płaskiej rzeźby
przywidział mi się pod słońce
przy sangwinie dookolnie
zachodzącej po dachach

Ktoś niewidzialny
zgarbiał nad głowę ciemność

elektryczność i gaz
nie znajdują tu należnego uznania

barwy niewidzialnego były utajone
ich kolor stanowiła ruchoma kolistość

2

W łaskocie kamieni
elektryczna jaszczurka
wybłyszczała się gasnąc

fiolkowe ząbki gazu
nadgryzały powietrze
z przegryzionego
wypadała powoli
długa śliska trawa

topole ciekły w dół
wzdłuż trawy
wbijały gwiazdy
w czarną łąkę placu
po trawie
wzdłuż drzew
doznawałem koniecznej całości

w cienkiej sangwinie
kret księżycy rozsypywał
kretowiska chmur

3

Radość wzdłuż trawy
przerwało nagłe ujadanie
pneumatycznych kilofów

z koniecznej całości
kilofy wydziobują
skrzydła z koksu i smoły

skrzydła siadają na brzegu chodnika
pod ciekące topole

z otwartych miejsc po skrzydłach
łąka wytrząsa gwiazdy

zachodzę je stopami
zniecka
sfruwią

powoli wschodzi
sangwina koksowych piecyków
cichnie pneumatyczne
ujadanie

łąka z łąki
przedśloneczny szron
przecina świat na dwie wklęsłe połowy

4
Trawa skończona
połowy się zrastają
ktoś niewidzialny
wywabia sangwinę

podchodzi szczelna ciemność

płynę w środku całości
jak wielki umarły
z milknącą skronią
pod prześcieradłem poranka

wzdłuż łąk
czarne nity piecyków
spinają iluzję z prawdą

śladami po piecach
wybiega nieśmiały błękit
wschodzący język krajobrazu
wylizuje ostatnie szarości

wystygłe piecyki
obsiadły plac
jak zmoczone wrony

zielona gałąź
zastyga z mych ust
z czerwonym liściem
ruchliwego mięśnia

5

Przenikanie pejzażu
z oczu w uszy
lecz nic ze słyszenia
w ciągu słów widzialnych

przewidzieć światło
przesłyszeć się barwą

6

Mów cicho
nie podnoś głosu
z ziemi
ziemi z głosu

Elementarz przestrzenny

Kiedy pióro komina
potyka się przed nowym zdaniem
drzewa podnoszą palce

Odczytywanie dymu
sprawia im niema przykrość

Sylabizują liśćmi każdą
ulotną głoskę ptaka

Czytanie drzew jest cierpliwe
Prowadzą swoje palce
z litery na literę

Potem na pamięć węgla
szeleszczą własną przeszłość

Zdziwienie drzew nad ich przeszłością
budzi litość ptaków

Rozsypane
przeciekają pomiędzy palcami
jak kolorowy deszcz

Tymczasem drzewa
dorastają szybko
do nowej litery

Kiedy doczytują się paleniska
pali się ich ziemia
pod stopami

Pióro komina
na chwilę przystaje

Wtedy ogień drzew
wybucha kwitnącą
gwałtownością

Ale już z przyczajenia
wybiegają siekiery

I drzewa przekreślają elementarz
zamaszystą krechę

Jakiś czas
przypatrują się
własnemu losowi
różowymi oczami

Potem zielona powieka
otwiera się z drugiej
strony

Uszy

Tadeuszami Nowakowi

Tu umarł Byron
Tu pośród fiołków i pistacji
Walczyliśmy wtedy z Turcją
Oto anegdota

*ibrahim i resita
zdaje się paszowie
byli nieco znużeni
życiem w missolungi
wydali tedy rozkaz
wymordować greków
pomordowanym odciąć
uszy
i zasolić*

*uszy sypano w beczki
każda tysiąc par
warstwy sypano solą
łagodna solą attycką*

*trzy beczki zawiózł posłaniec
dla wielkiego sułtana
sułtan nastawił uszu
pokój nie mijał spokojnie*

*wszelako w missolungi
zostało nieco greków
nie była to liczba duża
mniej więcej sto par uszu
posłano bowiem osobno*

Tu przewodnik dodaje
Były to uszy małe
Missolungi jest małe

Mniej więcej sto par uszu
Słucha tej anegdoty

Najpilniej słuchają dzieci
Dla nich Byron i fiołki to jedno

Sytuacja

Gdy barbarzyńcy zdobyli Akropol
wojna straciła mowę
Mówiono Grekom handlować oliwą
możecie dalej Po latach oliwy
przyszedł deszcz Akropol zaczęto odbijać
z rąk barbarzyńców Odbijano
dokładnie kolumnę po kolumnie
Oblężenie trwało długo

Nocami las obtłuczonych kolumn
szumiał w liściach chmur
Zapewne wojowników obu stron
ogarniało wtedy wzruszenie

Któregoś ranka z wejścia bramowego
z połamanego lasu kolumn
wybiegł cały w blasku posłaniec barbarzyńców
Wojna stanęła Odzyskała mowę

Brakuje nam ołowiu powiedział posłaniec
Zdrapujemy ołów z umocnień kamieni
Potrzebna jest amunicja
Damy wam kule powiedzieli Grecy
To oczywiste że damy wam ołów
Posłaniec pobiegł Stracili go z oczu
Odtąd kiedy Haga wpływała nad Partenon
Grecy ładowali do skrzyń amunicję

Barbarzyńcy nie nadużywali wojennej gościnności
Grecy gościli ich zgodnie z życzeniem
W imię bogini Nike
wojna trwała dalej

Była to wojna pouczająca
Akropol leży w gruzach
Barbarzyńcy zrywają te gruzy westchnieniem
Wdzięczni trwałości gruzów nietrwałości wojny
Sami przetrwali

Rozwiązywanie skowronka

1

Po każdej z przegranych wojen
trzeba pozbierać
porzuconą broń
nigdy nie wiadomo
kto wygra
kto przegra

Pospolite ruszenie po broń
odbywa się w tajemnicy

Dostojni rusznikarze segregują części
po części pospolitego ruszenia
przychodzi część pól bitewnych

Część narodu w segregatorach cmentarzy
i druga część nie do podzielenia

Mimo to dzieci chowają się w kobiety

Jeśli jest bardzo cicho
można usłyszeć
jak się gotuje pokój

Po naprawieniu broni
i wybronieniu prawa
związuje się drogi
ceruje miasta
przyszywa do szos

Pejzaż ceruje się sam

W tym czasie rusznikarze
związują koniec z końcem
zaś ptaki przędą chmury

Nic co związane
nie może być rozwiązane

2

Pokój już naprawiony
wojna wypoczęta

Koniec z końcem na ziemi
rozwiązuje się w niebie
śpiewa skowronek wojny

Rozwiązywanie skowronka
jest dokładne

Dokładamy starań
do każdego piórka
do ziemi w puchu

Nikt jeszcze nie przeszedł
progu dokładności

3
Szczęśliwi których wojna
dopadła na morzu
szczebioczą kombatanci

Nie trzeba go rozwiązywać
związuje się samo

Nim się wojna obejrzy
od razu gotowe

jest do nowej wojny
morze nasze morze

4
A nam w Manganie
co nam pozostało

Niebieska aureola
która się związuje
jak zima z ptakiem
lub noga z protezą

Jałowy posmak
niedopasowania

Kołysanka na wiatr

Kępy lasów na skórze ziemi jak chmury
Dzwonem drzewa wiatr w równinę sypie
Dzwonki ptaków posypały się w chmury
Dzwonem drzewa wiatr w równinę sypie

Czarne brzozy jak zmarzłe panny
Wbiegły nocą na wzdęte pagóry
Płynie anioł księżyc poranny
W smaku krwi i w kolorze purpury

Złoty wierzby piecyste wystygłe
Grzeją dróg nieprzerwany szlak
A w słowiańskiej zaćmionej izbie
Nóż opada na chudy kark

A w słowiańskiej zaćmionej izbie
Grzyb się w kącie lasu jak kot
Czarne brzozy w jesiennej ciźbie
Ćwiczą chwiejny taneczny krok

Tańczy pejzaż w słonecznym kole
W bęben dróg uderza twardy marsz
I już pusto w chałupach przy stole
Z nożem w dłoni stanął człowiek i las

Ruch jako narracja; gesty teatru wysłużone, a więc puste (próżne?) stając się niemieją; język muzyki teatru miałby rozwiązać ich zaniemówienie: wystarczy jedna fraza wiatru, słowo altówki, zdanie ataku, dwie deski na krzyż, garść ziemi wsypanej pod powiekę gry: teatr-pejzaż, rytm, wibracja:

Kołysanka na flet

Mężowie zacni tańczcie w koło
Przelewa się przez wieki czas
I choć wesele niewesoło
Bawi się dzisiaj każdy z was

Podbici brzęczą łańcuchami
Zwyciężył kto miał w dłoni nóż
Łzy wciąż łzy pod powiekami
Łza ziemia cała wszerz i wzdłuż

Trochę ironii w szorstkim słowie
Bo miało mniej być łatwych łez
O prawdzie nigdy nikt nie powie
Czy była prawdą wzdłuż czy wszerz

Czas się pogmatwał czerwien czerń
Na przemian zdobi niebo chmurą
I nikt już nie wie który dzień
Zejdzie się wreszcie góra z górą

Podbili was przynieśli dym
Ogniem rozwinął się nad krajem
Ale kto kiedy powie im
Czym chmura jest a co udaje

Zgwałcili was zabrali dom
Rozpadł się dom i znowu wstaje
Spłakany nieprzerwaną łzą
A może tylko tak udaje

Takie radości znacie już
Na przemian krew na przemian śnieg
I powtarzacie no to cóż
Że jeden z drugim w ziemi legł

I wciąż czekacie pójdzie w gminie
Wieść że gdzieś wiatr ptakami miele
A to przy starej okarynie
Żalosne tańczy dziś wesele

Ponad równinę ponad miasto
Spod ziemi strzępek śmiechu wzleci
Znużeni zasną wstaną zasną
Niepewni gwiazdy – spada? świeci?

Teatr nie miał wyboru, wtłoczony w sztuczność, w czas ściśle wymierzony, musiał się rozepchnąć używając zamiast łokcia – protezy agitatora; stara Grecja nie ma nic przeciw temu, ani Brecht, ani komiks; ważny jest czas zużyty na słowa i tkwiąca w nim energia brzmieniowa, nie one same:

Kołysanka na obój

Nie wyśmiewajcie nikogo ani spieszcie się z płaczem
W każdym domu przyjaciel bywa i nieprzyjaciel
Kogo wzięli niewinnie zapewne niewinnie zginie
Raz bywa królewski zamek to znowu gospoda w gminie

A kogo wzięli w weselu niechaj w weselu zaśnie
Kiedy jednego ozdobią drugiego zakopią właśnie
Nie wyśmiewajcie nikogo ani spieszcie się z płaczem
Bywa że ptak zaszczeka bywa że pies zapłacze

Dwie piosenki dwie takie proste
Ciepły pejzaż w ogniu za szybą
Tu krzyż z desek kwitnący wśród ostów
Znaleziony pocisk pod skibą
Tam kwitnące wiśnie po sadach
Biały list co szeleści jak welon
I z nagła w kolejowe szyny ujada
Żołnierski eszelon

Dwie piosenki dwa jabłuszka niewinne
Światła ulic i dym z komina
Tu w tej szopie buciki dziecinne
Zakochani wychodzą z kina
Tam chryzantem płonące kopce
Młodych kobiet zalotny wzrok
I z nagła o bruk ulicy ujada
Żołnierski krok

Nie pozdrawiajcie nikogo ani spieszcie się śmiać
Nie macie żadnych zmartwień ani czego się bać
Kogo zabrali w nocy zapewne w nocy zginie
Jednych czeka to dzisiaj drugich jutro nie minie

A jeśli tak było zawsze i jeśli zawsze tak będzie
Po każdej stronie ziemi w każdym obcym urzędzie
Nie pozdrawiajcie nikogo ani spieszcie się śmiać
Bywa że trzeba milczeć bywa że trzeba się bać

Dwóch piosenek dwóch takich prostych
Gdzie jest pejzaż w ogniu za szybą
Gdzie dwie deski kwitną wśród ostów
I gdzie pocisk rdzewieje pod skibą
Gdzie kwitnące wiśnie po sadach

Biały list co szeleści jak welon
I gdzie z nagła w kolejowe szyby ujada
Żołnierski eszelon

Dwóch piosenek dwóch jabłuszek niewinnych
Świateł ulic dymów z komina
Pary butów skrzyni włosów dziecinnych
Zakochanych idących z kina

Gdzie chryzantem płonących kopce
Młodych kobiet zalotny wzrok
I z nagła o bruk ulicy ujada
Żołnierski krok

Jak będziemy żyć, dziecko? komu dasz wiarę, a komu dasz godność? i komu potrafisz wykrzyknąć: być tylko sobą: teatr daje z siebie to, czego brak poza nim; poezja uwolniona przez teatr: szept, krzyk, obraz słowa; wyobraźnia bez granic; dziecko:

Kołysanka na trąbkę

Ile słowa w muzyce tyle światła jest w słowie
Ile kłamstwa w historii tyle prawdy na dziś
Płyną w swoich okrętach wspaniali kolumbowie
Znali jak się umiera nie odkryli jak żyć

Lecz nie przeszłość tu zgrzytam ani smętną równinę
Ptak gdy kwitnie w powietrzu to niech tańczy jak kamień
A gdy zwierzę umiera niech mu w niskim pokłonie
Ziemia pagórek poda dzwon jabłuszko czerwone

Ile czerni w czerwieni tyle gwiazdy jest w niebie
Ile krzyży po lasach tyle zamków na lodzie
Więc śpiewamy wam dzisiaj że gdy jesteś w potrzebie
Pozostaniesz w potrzebie choć o chłodzie i głodzie

Tak więc przeszłość tu zgrzytam co się przeszło nie wróci
Dym gdy kwitnie w powietrzu to niech tańczy jak chmura
A gdy człowiek umiera niech mu zwierzę zanuci
Że tę ziemię już znają kość karabin i kula

Perkusja; pomiędzy uderzeniami wybrzmiewają, jakby niedbale rozsypywane w przestrzeni, głoski; wiersz foniczny zostanie nagle ucięty wysokim zawołaniem głosu – dziecka:

Poniżenie, (I)

Któregoś dnia, najmniej oczekiwanie, gdy po uderzeniu w głód usta wybuchły czarną pręgą, zaś w powietrzu z krzyku i mrozu przedmioty nażarty się wolnością, któregoś tedy dnia młode lędźwie stwardniały i w koronie ciepłej skóry wzniosło się w swój przyspieszony rytm ostre pożądanie,

jego własna młodość przegrała wojnę z wykształconą w ciągłych zdradach dziewczką, lecz zachował tyle zdrowego rozsądku, aby otwierając oczy powiedzieć:

ciało nie traci tam, gdzie traci dusza, ono zna swe prawa i umie się odradzać, wystarczy morska kąpiel, prysznic i kawałek mydła,

odpowiedziała z godnością, do jakiej jeszcze nie przywykł:

to młodość chęłpi się w tobie!

ale on nie słuchał, raz był już nauczony przez matkę, że ufać można tylko samemu sobie, milcząc wstał z trawy i wtopił się w okalający las, a kiedy był daleko, usłyszał głośne wołanie:

wracaj, wracaj! ciało nie potrafi oszukać, dałam ci wszystko,

lecz to wołanie zmusiło go w końcu do prędkiego biegu:

śliskie, przemykało mu w myślach, obłe, zimne, słodkie, krok jego się wydłużał, wabią, kłamią i cuchną, śliskie wszystkie te zawołania: człowiek! skarb najwyższy!

człowiek? czym on jest?

kobietą, która źle kocha i źle rodzi, wyskrobaną z płodu jak więzienna cela z nieczystości,

mężczyzną, który zre mięso i który na koniec wyznaje, że życie jest przestępstwem,

dzieckiem, które się stało zakałą rodzaju,

poetą, który poniża własne dziedzictwo i w poniżeniu braci szuka złudnej sławy, zaś gdy ją otrzymuje znikąd, jak wiatr znikąd wieje i donikąd, odziewa się w pawi garnitur i w pełnej chwale obrzydliwości powtarza:

to, czym jesteście, to gnój, który jest mi potrzebny, abym wydał dorodne owoce, lecz pamiętajcie, jeżeli was gryzę, to gryzę was sercem, które kocha,

on zna jednak miarę głupoty i cenę zdrady, a oczy, przez które odebrał świat, nauczyły go, czym jest prawda, czym metafora, ta najlepiej dziś płatna ulicznica wolności, odwraca się więc w biegu i odkrzykuje z całą pokorą, na jaką go stać:

nie pragnę nic, zwróćcie myślom ich czystość!

czas rozkazać tym, którzy klęczą: wstańcie!

wołał tak w swym nieustannym buncie, a choć ciało nawykłe do upartego biegu było spokojne i zrównoważone, myśli wybuchały w gwałtownych sprzeciwach i nie mogło być końca niezgodzie, ponieważ to, co otacza człowieka, jest młotem, zaś on sam drzeniem, wysłużonym kowadłem,

nad ranem znaleziono go wyczerpanego, przesłuchiwany nie miał nic na swoje usprawiedliwienie, jeśli wykluczyć, o czym prokurator był już powiadomiony, słowa wymuszone:

jaskółka... pęknięcie... szczelina...

Słońce w pochwie pejzażu pulsowało tego poranka z pełną jednoznacznością. Czyżby przestrzeń zapłodniona spermą chmur, czyżby ta macica potrafiła zrodzić jutrznię?

Zgrudziłał ziemię przywołuje się tu na świadka.

Wstręt, (II)

Nie ufaj mu, temu chłopcu, który nie gwałcony już śpiewa gwałt, lecz jeślibyś miał wiarę dość silną, a twoje myśli nie znały trwogi, pamiętaj o przyrzeczeniu danym matce: życie jest zemstą! ten, który je dał, został stracony, jego głowa odcięta i rzucona w brudę, jego paznokcie tak z rąk wyrywane, że dłoń przypominała zszarpany kaganiec, jego tułów zbezczeszczony, więc zemstą za niego,

tak stało się któregoś dnia w teatrze nazwanym ojczyzna, i chłopiec płakał, ponieważ nasienie, z którego wyrósł i którym był, przypominało ojca, ukochanego straceńca wciąż żyjącego we łzach owdowiałej, kiedy powiada: gwałt rodzi gwałt, naucz się torturować,

tymczasem przez łzy z zamglonego dzieciństwa znać tylko salwę, śnieg we krwi, plac straceń podobny do żarna,

wybiegł w krajobraz miękki i szorstki jak zużyty obrus, w chaosie pokoleń przewala się pod stopami krew, w nowej fazie czasu wszystkim, co chroni przeszłość, stała się już tylko fotografia,

twój ojciec, ten z karabinem to twój ojciec,

lecz chłopiec patrzy na usta matki, jakby stawały się blizną, z której wypękują słowa: oszukany, on już taki pozostanie w ziemi,

stary śmietnik przyrzeczeń, wiatr znowu łączy ziarno z plewą, kiedy więc biegnie w przyszość, to jakby wracał do nasienia, serce się wzdyma i kurczy, znowu wzdyma, krew – donosiciel nie zna miary, u końca biegu znajduje nie zatajone ślady, puste miejsca po paznokciach, muzykę, postronek,

lecz jego ciało jeszcze się zejdzie razem, mówi matka, to, co było ojczyzną, stało się raną, i jeśli potrafisz zadawać gwałt, poczuje, iż nasienie się spełniło,

mięsista gula słów, w nich ów chłopiec, zwinięty rulon skóry, odcięta głowa, co kiedyś wybuchnie jak granat, słowo nie podniesione, to co było matką, umarłe, to, co było przyjaźnią, zdradzone, to, co było nadzieją, zabite,

w brzuchu podwórza poruszają się bracia skazani na śmierć, z rękami jak wahadła, z klatkami otwartymi wołają:

patrzcie, jak tu pusto, i tyle robactwa, i wszędzie krew,

zaś chłopiec, który dobiegł, stanął tak śmiertelnie, że zapomniał, co powiedziała mu matka, i z ust, które u niego, jak u niej, stały się także raną, sfrunęło:

ojczyzna, ach tak, to przypomina starca, który się zakochał.

Potem nadleciał helikopter, słońce uderzyło w oczy, świat się poszerzył. Sterczący pień czołgu jak zawsze gotów był do swych spełnień. Za oknem fruwały długie ptaki. Należało czekać na spisy zabitych.

Idę, zdradzony, owoc i nasienie.

Świętość, (III)

Stary mężczyzna (poeta), a jak chłopiec, który podgląda dziewczynę, widząc różnice nie rozumie przeznaczenia, jego sen wzniesie go potem wysoko, aż otwarta między wzgórzami szczelina odda mu swą miękkość, zaś usta zamkną się i otworzą, bo wszystko co snem jest wolnością, więc i on chciałby być snem, a ona wzgórzami w ustach nieba, poruszając się skórą ziemi, śmiałością,

milczy do niego: weź mnie, weź i znowu oddaj, lecz przez jego sen przebiega w tej sekundzie wiewiórka, nie może się więc stać nic ponad to, co jest ruchem gałązki,

tak, widzę, milczy, że drzewa siwieją,

tak, ślepnię, milczy, dotknij, dotykaj, dotykaj,

i znowu wybiega ta sama wiewiórka, w sen, w ruch wbiegnięta, nie wie,

wciąż jeszcze przylatują krótkie zawołania:

ogień! uważaj! w skrzypcach stóp piasek, struny w piasku, i w nagłym krzewie salwy czerwona błyskawica, stężenie gwałtu tak wielkie, że sztywnieją palce u nóg, z ulewy oddechów wybiega kropla, a stać musiało się coś niebywale ważnego, bo kiedy ze snu wypłynęła matka, chłopiec powiedział: o tak, dziś znowu biegłem przez drzewo,

jednak mówiąc to widział dziewczynę wychodzącą z wody, zaś patrząc znajdował w niej matkę, w jej rozchylonych ustach było coś między uśmiechem a skazaniem,

aż pewnego dnia świat otwarł się cały i stanął w ogniu nie do ugaszenia, płomienie cwałowały niby żywe konie, czerwień zarannej łuny, gotowa do zdrady wypalała imię: niewola,

odtąd już tylko ona wykrzykiwała sny boleśniejsze niż poród.

Zdrada, (IV)

Został po nim ślad twarzy wciśniętej w glinę, twarzy człowieka czystego, który mówił: zróbcie z moim ciałem wszystko, lecz miejcie odwagę powtórzyć: on nie wycofał żadnego ze słów i żadne ze słów nie wyszło z niego samo,

z gliną w rzęsach, z łatami uszu przyschniętymi do skroni, z miazgą warg, w szpetocie, dla której oko jest wyzwaniem, w smrodzie, dla którego nos jest skazą, w poruszeniu, które co chwila ustaje, stworzył najpiękniejszą z ról, w teatrze grawitacji, gdzie zdrajcy biją brawo mordowanym, zdradzani nie tracą wiary w świętość,

więc musiało się tak stać: prawda, którą wyznawał, skarłała, kłamstwo przybrało formę szczelną, jeśli właściwym jest powiedzieć: to, co zamknięte, jest szczelne, zaś to, co otwarte, nie jest wcale,

tego poranka dopadło go stado ładacznic, ich doświadczone dłonie, tak, dłonie, nie znają wstydu, choć są nagie, weszły w jego dłonie, wreszcie najczystsza z nich, wymuskana jak klamka u drzwi, zarówno dłoń i pospołu ładacznic (bo tak mu się już kiedyś śniło: życie jest prostytutką, drzwiami, przez które się przechodzi nie wchodząc nigdzie), najczystsza z nich, idea, tak mu się zdawało, lecz mogła to także być jej milcząca siostra, usłużność, tak się domyślał, lecz mogła to także być jej droższa sąsiadka, zdrada, nie wie dokładnie, pamięta jedynie skórą: czułość, oczami: wdzięk, uszami: patrzcie, rewolucja jest naga, gotowa do najwyższego aktu,

uwierzył, ponieważ rozkosz zdawała mu się chwilowym brakiem woli, ale wtedy usłyszał: tylko młode ciało jest piękne!

to już znał z przestróg starszych, jako że wciąż jeszcze pozostawał młodzieńcem, z szacunkiem więc wysłuchał, co powiedziano, lecz zaraz dodał:

wierzę w siebie, człowiek spragniony nosi w głowie kłęb myśli, a kto nie ma nic obok siebie, wszystko ma w sobie,

nie wie, która powiedziała, żeby powtórzył, więc zrobił to:

jestem spragniony, potrafię walczyć o własne prawa, jestem jutrznią, słońcem wywiniętym ze skóry przestrzeni, kroplą, dzień jest kroplą, ziarnem ze mnie,

język nie nauczył go prostoty, tymczasem spełnione ciało tak wciąż sprawne, niezdolne było podjąć nowego wyzwania, więc przemyślał chwilę w milczeniu, ale one, nieczułe na smak nagości, wzleciały śmiechem i zanim w zdaniu: życie jest prostytutką, doszedł do słowa: rewolucja, niepewny, czy jeszcze śni, czy też że słyszy realnie z gigantofonów, które przez całą noc sadzono na placu jak drzewa, tak właśnie wczoraj mu się dojrzało: mówiące drzewa w gotowym do rozegrania teatrze, wystrojonym tak barwnie, że nawet śmierć powinna być słodsza, śmierć? śmiech? rozkaz?

więc nie był pewny swego przerwane zdania, ani czy śnił, ani czy jawił, i dopiero kiedy wybuchy śmiechu napadały go coraz brutalniej, miał odwagę otworzyć oczy,

wypełniając cudze rozkazy ładacznic powtarzały wciąż jedno słowo: gwałt! gwałt! niewidoczny rozkazodawca podszeptował: prawo! prawo! stało się na koniec jawne przeznaczenie tego teatru: czystość zdradza brud, niewinność ośmiesza sędziów, niepewność jest nawozem nadziei,

gwałt nie znał miary, zrobiony był tak prawdziwie i tak po mistrzowsku, że kiedy ktoś z tłumu krzyknął:

ludzie! ale oni go zabili!

zrozumiano, że padła wyuczona kwestia,

wydarzy się czasem, nawet jeszcze teraz, że starsza kobieta z grudą gliny w dłoniach stanie na środku sceny, głowo, mówi, gdzie jesteś, nieśmiało ziarno, taki tęgi mróz,

kula powietrza, którą mocno trzyma, formuje się w kształt twarzy, ludzie patrzą, ze snu, niepewni, czy ziemia ich przyciąga, czy odpycha.

Był mróz. Niebo w kolorze milicjanta skrzyło się słonecznym odznaczeniem. Pęknięty łuk widnokregu krwawił. Ulica zwinięta w pięść uderzała w wieżę kościoła. Nie było nikogo, kto by wiedział, co się stało i skąd upadł na asfalt ciepły kwiat, który mógł też być strachem, głową chłopca, pamięcią.

Gwałt, (V)

On, z jedną dłonią odciętą, z drugą jak stara wycieraczka, marzenie unosi go ponad polem bitewnym, z urwanej głowy wybucha posoka, miejsca po jeziorach są jak zakrzepłe w krwi oczodoły, ucięta dłoń rozdziawionymi palcami orze przestrzeń, a kiedy krew oddaje krew i kiedy już nic z tego, co widać, i z tego, co wąchać, nie potrafi zaprzeć się czerwieni,

wtedy jakby zdonikąd pulsuje żywe serce, które jest białe, i na migotliwy znak bieli, o której nie wiadomo, czy jest brakiem, czy nadmiarem, jak nie wiadomo, czym jest bóg i czym nie jest, na migotliwy znak z czerwonego błota wypełzają pomordowani,

jedni wloką za sobą swe odcięte głowy, drudzy zakrywają wstydliwie zmiżdżone wnętrzości, jeszcze inni milczą tak przeraźliwie, że zrozumieć to mogą jedynie ci z żywych, którym los wybrał na odpoczynek miejsce obok rzeźni, kiedy to razem z lepkiem i parnym południem odchodzi ku najbliższej jutrzni rozpaczliwy wrzask zabijanych,

więc tego właśnie dnia jezioro odkryło powiekę, aby przestrzeń mogła choć przez chwilę nasycić swe oko gwałtem i krwią,

wychodzili majestatycznie, jeden obok drugiego, na czele on, przewodnik, wykrzykiwał niezrozumiałe słowa, ci, którzy jako widzowie utworzyli szpaler, zaczęli stopami wystukiwać brawa, a nikt nie miał śmiałości przyznać się do swoich rąk, w pewnej zaś chwili ktoś spojrzął pod stopy i wykrzyknął:

krew,

i wtedy wszyscy zobaczyli się we krwi po kostki u nóg.

tyczasem pochód rozwinął się w marsz, którego rytm milczący niósł się szeroko, wyprężyły się w gniewie rzeki jawy

i snu, poznania i budapesztu, uniosły się nagle piaski negewu i synaju, rozstała się dzungla biafry, rozpękł asfalt gdyni, pochwa ziemi jakby nagle zapragnęła pozbyć się swych wstydliwych tajemnic i w krwawym blasku chwili otworzyć się do nowego gwałtu,

ale on to przeczuł i rozumiejąc chwiejną wagę swej poniżonej młodości wykrzyknął:

jesteśmy zdradzeni!

a był to sygnał umówiony, po którym ziemia zamykała powiekę, odcięta dłoń wracała na własne miejsce, serce,

tak, serce, biała! rękawiczka, którą się zakłada i zdejmuje stosownie do okoliczności.

Anioł telewizji wyskrzeczwał tego wieczoru pęk pawich słów. W ogrodach grzebano poległych. Zręczne przekupki prędko uwijały się z resztkami krwi, aby ją jutro sprzedać na gazetowym bazarze.

Ratownicy

Dosłownie znikąd, w pejzażu Agrygentu, po którym niepewnie błądziłem, w falowaniu pamięci obejmującym wciąż nowe ziemie, schodzone, i te, ku którym dotrą stopy, pojawiła się i zogromniała ponad wszystkie – myśl o ludziach, dla których poezją jest ratunek.

Ich odwaga jest moją pewnością.

Z ich ofiary kiełkuje solidarność.

Kiedy zmęczeni opuszczają norę ziemi, światło wita ich okrzykiem: kto?

Mrużą oczy przed prawdą, przed oczekiwaniem.

Gdyby nie oni, nie miałbym odwagi napisać: jeszcze coś nas łączy po wspólnej stronie płonącego losu, tu, gdzie uroda ziemi z dnia na dzień nas dzieli, nie pogodzonych.

Tak znużeni, że nie słyszą nawet płaczu wdów: wiary i modlitwy, schodzą na chwilę w senne pojednanie oddać śmierci, co zabrało życie, spokój, ład, kubek gorącej kawy.

Wtedy przyfruwa anioł i obmywa twarze.

To nie jest piękne. To jest jedyne.

Droga na Krete

Kiedy statek odpływał, było już trochę po zmierzchu.
Z gałązki horyzontu spadła oliwka słońca.
W migocie gwiazd głuche dudnienie przypominało
Oddalającą się przeszłość, nie znającą już panowania,
I tylko czarna mgła wokół mnie, wykrywająca jak radar
Ruchome miejsce pobytu, mogła świadczyć o terażniejszości.

To miejsce, skąd odpływam, nie wiem, gdzie jest,
I żal mi tych, którzy błędząc zostali daleko.
Czas jak wiatr przebiega obok, mija mnie stojącego na pokładzie.

Nie mam nic do dodania i nic, co by dodało się samo.
Oto najpiękniejsza podróż, podróż w pobliże domu rodzinnego.
Znikąd w wieczność, w wielki las jasności.

Stanąłeś przy mnie, cieniu, lecz co ci odpowie
Twój zdradzający przedmiot? nic, tu wszystko zdradza:
Okręt morzę liść drzewo ciało ziemię i dalej płyniemy w ciemności.

Nie ma tu nikogo o rozwiązanym języku.
Jedynie strach przed karą panoszy się w tym królestwie
Pełnym przemocy, zachłannym i niemym.

Są słowa oszukane

Są słowa oszukane,
Rzeczy wyszły z nich na długą śmierć.
Poranek obłazi z resztek dawnych głosek:
Rosa, róża, perła, palce –
Pozostał z nich kurz, dym, smród.
Nawet codzienne słońce
Przetacza się placem niebieskim
Jak zjeżdżone koło tramwaju.
W tym miejscu zamyślenia
Podają mi swoje oczy: ślepy Homer
I zżarły przez chorobę ocean soli, Lautréamont
Nie powtarzaj, mówią, widzisz inaczej,
W oślepiającym powietrzu czuły jest tylko dotyk.
Wiem, wiem, miasta cuchną
I należy patrzeć już tylko muzyką.
Są słowa zapomniane,
W których brzmienie krąży, życie.
Gałąź wykwita nimi podobna do nuty:
pączek, kielek kory, jabłko.
Wybrzmiewa z nich pszczoła, szczygieł,
Świt rodzącego się ładu.
Słyszę, smyczek wieży na strunie widnokregu.
Musicie mi uwierzyć.
Tylko wasze uszy mają jeszcze prawo do wolności.

W świecie realnym

W świecie realnym, o świecie, wypowiada wielką bitwę.
Wstaje, sznurowuje buty, przeskakuje zasieki schodów.
W walce na łokcie zdobywa przyczółek tramwaju.
Pospiesznie lustruje równe kolumny gazet.
Jest dowódcą samego siebie.
Po krótkim wypoczynku na zapleczu ostatniej kolumny,
Z papierosem przy wardze,
Pozwala sobie zawiesić medal na piersi punktualności.
W ośmiogodzinnej potyczce osiąga wyznaczony cel.
Anioł przygody podaje mu na placu skrawek białej skroni.
Wygrałeś, mówią pewnie nie mówiące usta.
Zaśpiewaj, słyszą cicho nie słyszające uszy.
Zapatrz się, płaczą oczy, na sam koniec bytu.
W świecie realnym, o świecie, wypowiada wielką bitwę.
Z laską w dłoni, wyłysiały, skrzeczy do syna:
Za mnie, proszę, ty się nie wylegaj,
Co by to, gdyby, wypij mleko, pędź.

Szykowała się nowa bitwa.
Młode ziarno poruszyło się w łonie kobiety.
Krajobraz toczył się wciąż w jedną stronę:

Komin, topole, starzec, starzec,
Przedrzeźniały koła.
Po co upiększać.

Dyżurujące sumienie odpowiada dziś na listy naszych czytelników

Zawsze i tylko ja?

Nieść w sobie tę pewność, kiedy przyjaciele zdradzają,

Kalendarz obiecuje głód

I nikt nie wita dnia rozkazem.

Tak, wtedy.

Zawsze i tylko wolność?

Trzymać w sobie tę wiarę, kiedy niewolnicy niosą prawa,

Zniewolenie nadzieję.

Tak, wtedy.

Zawsze i tylko śmierć?

Nieść w sobie to skrzydło życia, bo tylko ona

Patrzy swoim okiem tak mądrze,

Że krew staje się stateczna,

A ciało jej sługą.

Tak, wtedy.

Rozmowa biesów z przytułku zawiedzionych, teatr

I gnój mego ciała, ach, nie mówcie:
Nie jest nim, skoro wasze mięśnie ani już piękne, ani sprawne,
Lecz on wyda owoc,
Najpospolitszą z traw trawę.
Przystaję na to jako kochanek rozumny,
Bóg o wysuszonym ziarnie, które zanim da życie,
Stanie się plewą.
Mówię łagodnie: nie znałem tej nadziei
I zawsze byłem gotowy tylko wyjść.
Nikt nie może być pewny, czy wyrosnie tu po nim las
I czy życie jego będzie krótsze, czy niebieskie.
Zawiedziony odpowiada mi spokojnie:
Zagrzebcie mnie płytko,
Niech trawa rośnie, zanim soki obróćą swój bieg
I to, co miało być korzeniem,
Stanie się krzyżem.
Zaraz pokornie dodaje: zamówcie napis
U prawdoustego w gminie rzemieślnika,
On zna, że trawa jest sierścią
I to, co ma rosnać, musi mieć gnój,
A to, co ma gnój, musi rosnać.
Powtórz mu, proszą, powoli i wyraźnie:
Wbiegłam tu tylko na chwilę,
To nie była próżność, ani wybór, ani ułożenie,
Każdemu tak wypadnie i zaraz trzeba wracać,
A to, że wszystko trwa krótko, nie może być wstydem,
Tylko pamięć rozpada się dłużej,
Draży nas w płytkiej jawie i w głębokim śnieniu.
Masz rację, mówiłem, ty, on, każdy, co czeka na słowa pociechy.
Trawa pamięci wykluwa nam oczy, zarasta każdą głoskę,
Każdy za nią czyn, i boli mocniej niż lata samotności.
To nie jest proste słyszeć, skoro nie ma wśród nas uzdrowionego.
Równina, biel,
Rzeczy do zostawienia,
Godność,
Trwałe
nic

Pod górą ze szkła, Praga, 68

Pod górą ze szkła sierpień krzyczy zranionym gardłem placu.
W upale, w kurzu motłoch roni słowa nad samobójczynią.
Pospieszny neon kłuje moje oko, skrzydła dachów opadają.
Wieczór nie potrafi się wzbić do lotu.

Z miejsca, skąd widzę, wszystko jest cmentarzem.
Chude alejki biegną, oszalałe, w przestrzeń równiny.
Pijane karetki pomiatają drogą.
Kropka błękitu zatrzymuje pędzącą krew.
Biorę ten obraz w siebie, bez snu i nadziei.

Wybiegłem nieco w przyszłość i jestem sam.
Uwięziony w cemencie słyszę rozpacz przyjaciół.
Pobiegli do swoich cietrzewi, do swoich kochanek.
Śpiewają pięknie, lecz ulicznica ich zagłusza.

Ona, która gromadzi mężczyzn przy swym ciepłym brzuchu.
Mówią: dlaczego skoczyła? Nie wiedzą, dlaczego?
Jeszcze z nich ciepłe słowa nie wyparowały.
Dzień był upalny. Krew schła pod gazetą.

Ja wiem, poznałem tę chwilę, w której dłoń pragnie piersi.
I nie ma we mnie wstydu.
Lecz do niej, gdy upadła, nikt nie chciał podejść,
Nawet zapłacony.

Widząc sam siebie w tym locie na bruk
Zadzwoiłem spokojnie:
Wolność popęłniła samobójstwo.

Przyszli tego samego dnia, w sierpniu.
Miłość migotała w każdym zdaniu nie wypowiedzianym.
Tak.
Tak.

c. d. Praga, 68

Sierpień, smutek nienasyconej nagości,
Przychodzi wieczorem, udręki kołują
W dwóch dłoniach, jedna podnosi kieliszek,
Druga nieruchomieje nad zamkniętymi ustami.
W norze ciała błądzi krew i nie znajdując ujścia
Uderzą w bęben skóry, dwie otwarte ku sobie formy
Cwałują w nadchodzącą jesień, w blasku chwili
To, co jest śmiercią, staje się radością żrebięcia.
Staruch, bóg – pasterz młodości, tak, to on rozkazuje
Pędzić ku czystemu źródłu, w którym myśl odzyskuje niewinność,
Ciało czystość i nadzieję.

Tego wieczoru żołnierze czy kobiety
Podawali sobie księżyc z ust do ust?

Ale jedno z nich szło prosto przed siebie,
Jakby w oszukanym tłumie dojrzało
Czerwoną drobinę wołającego dziecka.
Nie wiem, kim ona była, mijając ulicę wlokła za sobą
Smugę czerwieni, nieczuły krzyk: oddaj, oddaj! – ten kurz wolności.

Zawstydzony nie potrafiłem jej ofiarować swego męstwa.
Lecz gdybym nawet potrafił,
Już nie wydarza się tak, że coś jest czyste
I że własne można oddzielić od cudzego.
Po tej stronie nawet moja dłoń na jej piersi
Nie może być pieszczotą, lecz posądzeniem.

Wybłąsnał na niebie sztuczny księżyc w kształcie paragrafu.
Ta forma jest więzieniem.
Już nawet własne ciało jest więzieniem.
Przyjaciele,
Napadnięci w miłości.

Czekałem długo w kolejce

Czekałem długo w kolejce, żeby oddać krew
Dla pewnej kobiety, której pozostali już tylko nieznajomi.
Spacerowałem z rękami w kieszeniach.
Przepychałem się łokciami przez rzeczywisty sen.
Rosło we mnie milczące niepojednanie.
Na śródmiejskim przystanku autobusu
Dojrzałem wymykającą się moim marzeniom pewność.
Chciałem wyskoczyć, było już za późno.
W szczęce pneumatycznych drzwi to, co miało być miłością,
Stało się niedopasowaniem.
Czas wiozł mnie pospiesznie w ciemny tunel
I nikt nie wiedział, czy na jego końcu
Czeka nas brak, czy nadmiar.
Chciałem dla kogoś otworzyć swoją żyłę.
Chciałem komuś dać ten nadmiar czułości,
Bez której czujemy się samotni.

Wzięto mnie za szarlatana, za kogoś o fałszywej ręce.

Jedynym moim zwycięstwem było to,
Że zanim się spostrzegli,
Mówiłem już z drugiej strony.
Odpowiadali mi szczerymi łzami,
Jakby zapomnieli, że los swój
Dzieliłem już ze śmiercią dziecka.

Ja, Fiodor Dostojewski

Nie buntuję się przeciw ojczyźnie,
Buntuję się przeciw jej głupcom.
Kiedy słońce zachodzi, przemykam ciemnymi zaułkami
I plecy oczekują na nóż.
Ale moja twarz nie boi się przesłuchania,
A serce pozostało nieczułe.
Chwiejność jest wciąż ta sama: płomień – zgaśnięcie.
Spotkam się wtedy z matką, a ona powie:
Roztrwonileś życie na dni, choć ból, który cię przyniósł, był wielki.
Kto mnie, we wstydzie, ocali przed wściekłością?
Co rano obmywam twarz z doby, która minęła i była pełna goryczy.
W łachach rękawów skrzepła krew przesłuchiwanym.
I nie wiem, skąd na moich dłoniach tyle cudzego płaczu.
Rozbudzona nadziejo na piękną pieśń, pocieszycielu, poranku.
Kat słońca stuka do okna.
W nałożonej na swój pysk płachcie gazety czyta wyrok: głód.
Nie morduj mnie, ostrzegam, oddałem krew i chcę jeszcze żyć.
Lecz kat przychodzi i ja mu ulegam.
Z dnia na dzień bezprawie zwycięża we mnie prawo.
Nie mam już w brzuchu nawet pożądania.
I nie przeczuwam, wiem:
Mój koniec znajdzie swe miejsce w moczu i w krwi.
Dlaczego się nie bronił, słyszę głos dziewczyny,
Ja, który w nią wszedłem i nie szukałem powrotu.
Ciało moje obmyli w przydrożnym korycie.
Tu konie gasiły pragnienie i chrapami oddawały sobie pocałunki
Rżenie mnie przetrwa.

Słowacki witraż

Wszystkie tu soboty biją mnie po twarzy,
Znoszę to, choć boli.
Powtarzam sobie na pociechę wiersz Eliota Gerontion,
Tę piękną muzykę, którą Ryszard Cieślak gra,
Jakby był na raz wrzaskiem, szeptem, oceanem.
Pomiędzy inkantację wsiąka trzepanie dywanów.
Przebrani w dresy, wyluskują z garaży swoje auta.
Myją, przyglądają im się, wpychają do garaży.
Widok zanosi się dymem.
Teściowe rozpalają kominki.
Żony wygrzewają już łóżka dla swoich kochanków
Wracających ze śpiewem z hokeja.
Gospodarz w cyklistówce pali ognisko ze śmieci tygodnia
Próbuję ich przesłyszeć, ale poszli już spać.
Mgła, smutek, tak wiszą nade mną, tak ciekną _ _
Rozmawiam z balkonem.

Pięknosłówka odleciała

Pięknosłówka odleciała.

I znowu jesień przyjdzie mi spędzić w nędzy.

Pozostał mi już tylko anioł snu, więzienie, muzyka.

Milcząc, mówią do mnie: matka jest z tobą, ona wie,

Po co cię urodziła. Lecz przylatując do mnie zawołaniem,

Żebraczką, wrzaskiem ulicznika, nie podpowiada żadnego

Ze słów, na które czekam.

W spękanych dłoniach trzyma łańcuch ociekający krwią.

Podbiegam, matka się oddala.

Powalona przez nacierający tłum –

Patrzy na mnie, na obcego.

Widzę: w przegubach rąk czerwone jamy.

Uderza mnie w twarz jej krew, skrzydło.

Idźcie, krzyczy, zróbcie coś, zanim umrę,

Przewoźnik nadpływa, a nie widzę wśród was szczęśliwego.

Idź, synku,

Zgaś słońce, źle umierać w takim brudzie.

Położ się we mnie

Położ się we mnie, weź
Całe ciepło jakie mam
Nie wstydź się, weź
Gdy zapukają hiacynty
Nieznajomemu powiemy:
Drzwi były otwarte
Siądź z nami
Ona niedługo przyjdzie
Bo skoro szuka noclegu
To na pewno tu trafi
Dworce śmierci są blisko,
Wejdz

Dwie doby czekania

Dwie doby czekania,
Żeby niepewność zamienić na pewność.
Ile ptaków pochłonęły chmury?
Czym językiem mówi do mnie samotny storczyk?
Uspokój się, serce, już nas wzywają.
Bij się o mnie moimi rękami,
Ja stanę się kobietą, której pragniesz.
Lecz krew nie zadaje pytań.
Ona cierpliwie szemrze jakieś słowa,
Po których długo potem patrzysz w okno.

Drugi głos

Boję się samego siebie
Wtedy potrafię już tylko się śmiać

Sąsiedzi pukają w ścianę
Potem i oni zaczynają się śmiać

Udręczony zasypiam i nagle słyszę
Głos kobiety której dawno tu nie ma

I jakieś skrzypiące okno
Zarosłe kurzem i pajęczynami

I jakiś daleki wiatr
Przeskakujący domy

I jakiś drugi głos co we mnie stale rośnie
Chociaż nie zasiany

Nie umiem powiedzieć co to jest
W szparze drzwi stanął cień, przywołuje

Godzina pierwszego śniegu

Wieczór głowę pochylił nad moim opuszczeniem
Obłokami obmywam sobie twarz szarą jak niebo
Co we mnie widzisz i dlaczego nie ma miłości?
Idzie spokój godzina pierwszego śniegu

Liść klonu świeci spoza mgły kruchy i miękki
Stopy światła nikną za uchem doliny
Nie mam w sobie niczego co jest godne
Wspomnienie pierwszego słowa, godzina śniegu

Pozostań sam, umiłowany, bo tak musi być
Na palcach losu północ gwizdże swój czarny płomień
Moja дума, córko, ma tylko smak starości
Godzina sypie pierwszy śnieg, życie pierwszy śnieg

Przywołane wspomnienie

Drzysz, a nie stało się nic,
Co mogło zranić.
Przytuleni do wzgórza
Zjadamy światło winnic.
W oczach winogron tonie zmierzch,
Przyjaciel naszego czuwania.
Stoisz nad polem papryki,
Nad zielonym cmentarzem,
Czerwone języki zniczów
Snują światło nad pusztą.
Więc przystanęliśmy i tu,
A ty drzysz.
Żuraw stęka z obciętych skrzydłami.
Wiadro u jego dzioba budzi pragnienie.
Patrz, jak ruchliwie pełzają płomyczki papryki,
Jak mówią ostro:
Uchyl ziemię! No, odgarnij!
I twoja twarz objęta korzeniami
Różowi się listkami nieba.

Wtedy trzymałem cię mocno w ramionach,
Teraz też trzymam cię mocno,
Drzysz jak daleka gwiazda.

Der Tod ist gross

Długo chodziłem pomiędzy bliskimi
Zdumiony ich warczeniem, zaciekłością.
A potem nóż, ledwo tknięty, skoczył mi na palec.
Ssałem krew i syty dalej szedłem.
Znużony chciałem się położyć,
Wtedy usłyszałem tyle wyzwisk,
Że zacząłem się bać własnej pościeli,
I sam siebie zacząłem się bać,
Porzuciłem własny dom,
Wyszedłem szukać innego miejsca,
Idąc śmiałem się, latarnie kiwały nade mną
Światłymi głowami, nawet nie wiem, czy ktoś płakał,
Może cień, uwierzcie mi.

Kiedy zburzono katedrę w Rouen,
Spotkaliśmy się, piękno i gwałt.
Podobno cienie katedry płakały wtedy,
Nie mam pewności, bo jestem wygnany,
Ale mogło tak być, mój dom,
Miłość i obowiązek,
Też są z powietrza i też przetrącone.

Bądź chwilo rozumna

Bądź chwilo rozumna
Z wiatru jest moja trumna

Na mokrym zgęstniałym niebie
Krótka pamięć się kolebie

Wejdz proszę otwarta brama
Będziemy razem syn ojciec i mama

Lecę ku swoim stogom uśmiechnięty
Przez wiatr zapalony i przez wiatr zdmuchnięty

Łzy Seneki

Oto i godność ludzka
Dwie łzy nad bezmiarem spokoju, dwie łzy
Po których czas poznaje smak wstydu
Gdyby usta rzeźb umiały mówić
O gdyby umiały
Dałbyś kamieniom skrzydła?
Rzecz pragnienia jest ciemna jak każda rzecz
Śmierć nie przychodzi ona zawsze idzie
O gdyby umiały patrzeć kiedy się przechadza
Ubrana w czarne skarpetki
Sam wiesz, sam widziałeś

Jedni, drudzy

Nic nie zostało ani stół ani sztaluga
Rację miał on zaczajony w zakamarkach ciała
Padliśmy ofiarą zasadzki
Tymi dwoma prześcieradłami co były
Twoją Golgotą można wygnać wszystkich łotrów
I mieć czyste sumienie
Ale oni też cierpią
Jednym nie udaje się życie
Drugim nie udaje się śmierć

Płacz

Płakały kamienie i schody płakały
Gołębie łzami leciały po policzkach nieba
Płacz rósł wiosennymi kielkami
Łzami owocowały ogrody
W kłosach pęczniały łzy
W szarych dzielnicach miast płakały okna
Kobiety rodziły łzy i we łzach
Tuliły się pary kochanków
Płaczące szły płaczem policzkowane godziny
Płakał deszcz płakały wyschłe rzeki
Ryby płakały i nagrobki płakały
Płakały plecy matki
Płacz płakał
Pies włókł swe szczekanie
W kagańcu z łez
Po jej twarzy spokojnej przeskakiwały obłoki

Zapis

Mój stary ojciec i jego stare drzewo
Rozgałęzione stało dla swoich braci
Kiedy się pogodzili powiedziałem:
Będę ci synem, jeżeli korzenie tak chcą
Odtąd nie było dla nas żadnej ulgi
Pracowałem dla nich długo i mozolnie
A teraz kiedy i ja rozmawiam z korzeniami
Udaję, że śmierć jest tylko w zмовie z grzechem

Umarłe słońce

Myślałem: śpi
Wołałem pociągałem lekko za nos
To musiało trwać długo
Bo właśnie niebo zaczęło się ubierać
W swoje różowe haleczki
I zobaczyłem ją: je śniadanie
Wystaje w kolejkach
Idzie do pracy
Myślałem: śpi
A to ciemny liść jej ciała
Rzuca na mnie nieruchomy cień
I płacze umarłe słońce
I płacze umarłe słońce
I płacze umarłe słońce

Dzień bez źrenicy

W chwilach najmniej spodziewanych
Przelatuje przez pokój
Czarna chusteczka.
Ma kształt płomienia,
Zaledwie dojrzę – znika!
To stało się już tyle razy,
Że nie ufam własnym oczom.
Teraz też przelatuje.
Słyszę w sobie jakiś ciemny szelest,
Jakby patrzył na mnie
Jutrzejszy dzień bez źrenicy.

Słodycz jesieni

Dotknąłem cię bez wstydu,
Mówiąc: nie czułaś tego z nas,
Który był pierwszy. I jest dalej
Ten blask w twoich oczach, to on.
Drżenie ciała, kiedy językami
Wyszukujemy w sobie miejsc uległych.
Opadanie liści z drzew, sukienek, uśmiechów.
O tak, mówisz, on tu przyszedł bez ciała
I byłam szczęśliwa, ale teraz
Nie muszę już płakać. Kiedy stoisz
Przy mnie, jesteś mój
I tak jest co dnia, jesień miłości
Przysypuje nas długim pocałunkiem,
Pewnością, że coś jest przed zimą śmierci.

Za późno

Cement dali? Dali
Podróż do łzy załatwiona? Załatwiona
Telefon założony czynsz zapłacony? A jakże
Order uśmiecha się na lewej piersi
Lista dostojnych gości świeci tym imieniem jak neon
Nagrobek Imię Wszystko jak należy
I wtedy u kresu sławy
Życie staje w trzcinach

Zmowa kwiatów

Dni moich bliskich, noce moich bliskich.
Wybaczcie mi, przeklinajcie, chcę, żeby tak było.
Jeżeli nie mogę dać źródła swej rzece,
Muszę na siebie wziąć ułomność geranii i rodziny.
Jest zima, puste gniazdo jaskółki
Zaprasza mój cień, a ten, co się namyśla,
Musi wiedzieć, że wyprzedziły go już:
Wiosna i łza.
Jestem doliną, która wyciąga ręce
Ku wszystkiemu, co mogę objąć.
Wypiszą mi kiedyś solidarne kwiaty:
Tu uśmiecha się ten, co był z nami.

Miejsce na północy, Wólka Węglowa

Jakże to miejsce radośniejsze od innych
Łodzie bez wioseł stoją nieruchomo
Zbite w stada, ogrodzone siecią płotu
Czekające i śliskie

Krzewy dzikiej różyczki
Są ruchomymi wirami, co wężą
Po zielonych falach by w końcu zniknąć kurzem
Na równinie żałobnego betonu

Stada ptaków zrywają się w chmury
Lecą jak postrzępione chorągwie

Są to ptaki bez radości, głuche i ciemne
Jak zdziwienie, które mnie porywa
Kiedy przystając na brzegu
Czołem dotykam nieba

Co dzień biega po nim wciąż ten sam
Różowy pies i zielona zatoka czuwa razem z nim

Wysoki idę pomiędzy łodziami,
Większy niż Chrystus o suchej stopie
Schodzący w głąb siebie

Śmierć jelonka

Zadając sobie ból zabijałem rozpacz
Rosła we mnie dzikim poszyciem obrastała mazią mchu
Jakże musiałem być wstrętny skoro
Wybiegł ze mnie nawet okulawiony jelonek
Wybiegł ale zaraz się zatrzymał
Oczy mojego lasu patrzyły łagodnie
A on wahał się w mojej źrenicy
Niepewny gdzie znajdzie śmierć a gdzie ocalenie
Staliśmy naprzeciw siebie: powaga z młodością
Ale wtedy zobaczyłem kłusowników
Wyrośli nagle jakby nie byli ludźmi
Lecz nagrobkami pól
Krzyknąłem: uważaj, ale on tylko stał
I patrzył skąd wiatr niesie zapach koniczyny
Pochyliłem wszystkie swoje drzewa
Wszystkim ptakom rozkazałem śpiewać
I uniósł się echem równiny sierpniowej
Rozkaz najpiękniejszej z milczących muzyki
Krajobraz płakał
Nad zmarłą we mnie sarną
Nad uduszonym zającem
Nad wypędzonym latem
A jelonek się pasł
Pewny jak radość w śmiechu trawy
A czymże ono jest jeśli nie zasłuchaniem
W przejrzystą urodę obrazów?
Życiem?
I kiedy wczesnym zmierzchem zastrzelono jelonka
Nie było w tym nic ze śmierci
To tylko ja, las, wyzywałem sytych przeciw szaleńcom
To tylko ja, las, zadawałem sobie ból, ale dla was czuły
I kopytkami przebierałem ziemię
I gałęziami przebierałem niebo
I lży kołysałem w oczach żeby spały

Spacer

Długo mnie tu nie było.
Park ucieszył się z mojego powrotu.

Gdy rozmawiałem z najstarszym bukiem,
Obstąpiły mnie trzy nieśmiałe świerczki.

My też tak chcemy, mówiły.
Dzieci to sobie biegają,
A my stale stoimy.

No popatrz, buk jeszcze teraz
Ociera sobie łzy.

A przecież nie wiesz,
Jak on płakał wczoraj.

Ja do was wrócę każdej chwili, powiedziałem.
Ty dobrze wiesz, że przyszedłem do mnie
Rzeczy ciemne, wśród których jesteś przewodnikiem.

Kiedy tak staliśmy, ja i buk,
Świerczki głośno się śmiały
I pokazywały na nas palcami.

Wracając do domu potknąłem się o chmurę.
Drzewa prędko pobiegły
I chroniąc mnie przed upadkiem

Najmłodsze powiedziało:
Będziesz mój!

Ale w tej chwili matka drzew
Pogroziła mi palcem:
Wrócisz tu, skoro twoje życie
Jeszcze się nie spełniło.

Człowiek i drzewo

Który już rok
Z tego samego okna widzę, jak
Staruszek wczesnym wieczorem
Podlewa białe drzewo.
Jakże było wysokie,
Jakim ptakom podawało rękę,
Ilu psom przynosiło ulgę samotnego dnia.
Pewnej wiosny objawiło się wielką czerwienią
I nagle znieruchomiło.
Każdego dnia przychodził staruszek,
Podlewał, patrzył i każdego dnia
Drzewo było mniejsze.
Zniknęło w mroźnej godzinie
Jakiejś niedzieli, kiedy
Stałem w oknie
Gotowy skoczyć na pomoc
Wołającej mnie nicości.
Nie masz drzewa, musisz przykryć się wiatrem.
Powieka liścia zanim spadnie uroni zimną łzę.

Obrona starych poetów

Dla pani Kazimiery Iłakowiczówny

Kiedy spotkacie starego poetę
Nie mówcie z nim o życiu nieudanym
Stworzył wysoką górę po to żeby ją zdobyć
Zbudował szeroką drogę i przeszedł nią sam
Jego nieustająca miłość do kobiety
Może was wiele nauczyć, bo on już wie,
Po jakiej stronie stoi, a wy ją
Dopiero odwracacie.
Starzy poeci kryją w sobie wiele tajemnic.
Są kieszenią waszego dzieciństwa,
Strychem waszej czułości, waszym
Pierwszym pocałunkiem.
Kochajcie ich za to, co im się nie udało
I bądźcie cierpliwi, kiedy otwierają ciemne
Kosze swoich niepowodzeń.
Spotkałem raz starego poetę.
Tu są, mówił, wszystkie moje
Niespełnione pragnienia.
Mam odwagę, ale nie mam siły.
Zajrzyjmy, co tam jest,
Może jakiś papier pod ognisko,
Ogrzejemy się trochę, bo ja pamiętam,
Komu słowo odmówiło służby, a komu
Było wstrętne i kto się bał.
Otworzyliśmy kosz i ja pierwszy
Sięgnąłem, ciekawy jak wiosenna czapla.
Wyrzuciłem tu papiery, mówił stary poeta,
A ty co masz, jakieś ziarenko perły?
Rubin? agat? otwórz dłoń szerzej.
Palce miałem uwalane złotym kurzem
I dłoń paliła mnie jakbym ścisnął ostry nóż,
Stary poeta się uśmiechnął,
I ja wiedziałem, że nie ma nikogo,
Komu własną krew mógłbym
Dać prościej i bez uległości.
Poszedł zdobyć nową górę, którą sobie wymyślił.
Jego plecy zasłaniały niebo.

Oczy umierającego Wergiliusza

On nie ma twarzy ona nie ma ręki
Ona śpiewa piękniej niż jesienny step
On przeklina rzeczowo jak łotr i nie boi się Boga
Kalectwo podaje ich sobie na talerzu śródmiejskiego placu
Ale oni się zjadają i są szczęśliwi
Musielście ich poznać jeśli macie serce
Nas tu łączy brak rzeczy nie nadmiar śpiewu

Centaur

Wypędź z siebie centaura
Niech grasuje po ciemnych bitwach
I spieniony karmi się resztkami
Stratowanych kwiatów

Napisz centaura i zaraz go spal
Zobaczysz jak cierpi jego ciało
Jego oczy szeroko otwarte
Ręce brzuch serce centaura
Podkowy centaura

Stań w oknie i patrz
Warszawa gaśnie
W źrenicy śródmieścia

I bądź spokojny
Gdy pustą ulicą
Idzie rozwrzeszczana ojczyzna
Łza z podkową

La Madonna Nera

Musiałem być opuszczony gdy pragnąłem wierzyć
Ukryty w mroku jak dłoń w rękawicy
Szukałem palcami ciepła i zapachu
Dookoła jest skarga
Pod namiotami drzew koczują cienie bliskich

Dzwon sypie na dachy śmiecie swej duszy
Całe oczekujące pokolenie nagle widzi:
Świtem wstępuje na niebo czarna aurora
Jej policzki przecina samolot

Ten obraz widzą tylko ci którzy mieszkają wysoko
I ja wśród nich czarny i nienawidzący
Lecz potem obraz opuścił nas jakby się skrył
W skrzypcach wiślanej doliny. Modlitwa, czy dłonie dla niej?

Jeżeli nie umiesz widzieć, naucz się słyszeć,. Matko.
Jeżeli pragniesz we mnie wejść, wejdź Boże.
Ogrzej swe ciało w rękawicy wiersza.
I cóż z tego, że biednych jest więcej niż słów?

Przeznaczeniem ojca jest

Przeznaczeniem ojca jest,
Żeby dzieci miały co jeść!
Wspomnij sobie, śpiewaj własne szyderstwo!

Stajesz kością w gardle ojczyzny.
Dwa słowa na miarę rzeczy,
A już się krztusi!

Udławiona wierzwą, mazurkiem, goryczą,
Bita po plecach pięścią gwiazdy zarannej,

Stara się zdrowo oddychać,
Śpiewa, spowiada się innowiercy,

Na koniec wydławiona bierze w płuca własne życie
I razem czekacie w jakimś megasamie,
Uśmiechnięci i poddani.

Romantycy

Słodko się miłość ojczyzny kolebie
Słowo spełnione a ciało daleko

Opuszczona kochanka młoda lecz zdobyta
Nie miałeś odwagi trwać przy niej, zdradzony

Wszyscy uciekli, gdy gwałcona wołała ratunku
Z dłońmi pełnymi czułych plew, płakali

Te łzy większe niż chmury, chmury łez
Spadały na jej brzuch i rodził się potwór

Napisać dla niej czułą widokówkę, pozdrowić
Jej pszeniczny płacz, jakaż odwaga

Biją twoją ojczyznę, twoją kobietę
Uciekasz, żeby o tym napisać, przekupny

Powiedz mi, czy ziemia zna naród
Co stanął w innym miejscu niż jego dusza?

Więc wytłumacz dziecku, dlaczego
Stwarza świat pytań bez odpowiedzi

Bo tu z nami byli cierpliwi i walczący
O każde ziarno trwania, o deszcz i plon

W twoich słowach było tylko pierze
Na poduszkę pod ich ścięte głowy

Dziś i ja podziwiam waszą sztukę zdrady,
Jakbym oglądał różę, co ucieka z własnego zapachu

Iluż was było, bezgranicznie imiennych,
Łajdaków nędzy i salonów, wstrętnych

Lecz ojczyzna was nie zdradziła,
Ona stale wierzy i stale obdarza imieniem

Adamie, Juliuszu, Zygmuncie, Cyprianie,
Archipelagi bezpiecznych cierpień, zdrajcy.

Biedni wstają

Biedni wstają, bójcie się bogaci.
Ręce po chleb wyciągają, kto zapłaci?

Głodni idą, bójcie się, syci.
Powoli, twardo idą, gniewni i skryci.

Ustąpiła im droga, słońce i mgła.
Chcemy, śpiewają, Boga, nie chcemy zła.

Stanęli, łapiąc powietrze, nad kromką chleba.
Karabin strzela i Bóg uchyla nieba.

Leżą pokotem biedni, skryci i cisi.
Rozpacz nad nimi, trwoga wielka wisi?

Lecz dalej idą, idą z własnej otchłani.
W gniewie swoim, we krwi umazani.

Wysoko i nigdzie

Koliste stado wron krąży nad Placem Defilad.
Jest wczesny ranek, mgła idzie do pracy,
Robotnicza jak te kombinezony,
Co nieruchomo chuchają w dłoń przystanku.
Wrony krążą wysoko i mówią do mnie
Jakimś językiem, którego nie rozumiem
10 grudnia tego roku, na 23. piętrze.
A potem jedna spada i w śniegu
Nie wiem, gdzie jest. A potem druga płacze
I pyta mnie o chleb, ale ja nie wiem, gdzie jest.
Już kiedyś tak stałem w oknie,
Szły wojny, jakiś Sajgon, jakaś potyczka na Cyprze,
Ktoś skrzywdzony przychodził i ja miałem
Go rozumieć i nawet mam przy sobie
Dowody współczucia. Dziś wstałem wczesnie,
Bo nie mogłem spać i było mi żal przespanego
Świt. A ktoś może akurat czekał na to, żebym nie spał,
Jak ja kiedyś w Damaszku, kiedy czekając na Chrystusa
Tak w niego uwierzyłem, a on nie przyszedł.
Miłość to była ? Przeczucie rychłej śmierci?
Kiedy włączyłem radio, głos oznajmił,
Że powietrze jest mroźne i siła wznoszenia wysoka.
Wciąż stałem w oknie zapatrzony w krążenie wron.
Były nieme, jak korona, którą cesarstwo nakłada na głowę placu.
Nagle pogoda się zmieniła. Wiatr ustał i to,
Co krążyło, spadło, i przeczytałem w gazecie,
Że one tak wirowały martwe kilka godzin,
A to moje stanie sprawiało ból tylko mnie
I tym nieczułym w kombinezonach, co też stale
Krążą pomiędzy ciepłem a śmiercią.
(–
Widzę, ale nie wiem co.
Mgła odsłania wielkie maczugi wieżowców.
Zbite niebo wspiera się o mój dom, zawsze czuły.
Straszy grudzień w tej chwili.
I kiedy nie wiem, czy ja jestem śmiercią,
Czy też ona we mnie ze wszystkich sił pracuje,
Przychodzi tamten dawny z Damaszku, współczujący Chrystus.
Mówi: widziałeś mróz, a serce ci taje. Kto
Choćby raz umarł, ten nie stanie w oknie,
Żeby mu przeznaczenie zagładnęło w oczy.
A ja mu odpowiedziałem: ale popatrz na te ptaki,
Podarowałeś im wiatr, lecz nie obdarzyłeś miłością.

Miłość? Chłopcze, gdybyś ją kochał, śmierć musiałaby milczeć.
Ale ja wiem, że tak nie jest, mówię.
Gdybyś ty kochał śmierć, przychodziłbyś do
Wszystkich pragnących, a przecież stoisz
W swoim za wielkim szronie i tylko powtarzasz:
Nawet ptaki zgasły, nawet człowiek
W mojej rękawicy marznie, nawet ty, u okna,
Obejmujesz więcej, niż masz przypisane.
Podał mi na pożegnanie dłoń.
Była zmarzniętym skrzydłem.
I podał mi drugą, bo chciał dotknąć mego kalectwa.
Była soplem lodu, na który chuchałem
I powoli ukazywała się twarz mojej ukochanej,
Spadające łzy odsłaniały mi ciepłą dłoń,
Aż pozostała z niej tylko
Uśmiechnięta śmierć.
To ona krąży tego poranka nad placem mojej twarzy.
To ja jestem przystankiem wcześniej zbudzony
To we mnie życie na chwilę przystanęło,
10 grudnia, wysoko i nigdzie.

Martwa natura z miastem

W wąwozie ściany wschodniej stanęła dziewczynka
W narzuconej na plecy perkalikowej samotności
Było jej do twarzy w świetle kapryśnego neonu
Którym noc uśmiechała się do mlecznej drogi

Stałem i ja choć nic mi nie dolegało
A może byłem tylko dłonią losu
Co szuka ciepła w płaszczu bramy?
Minęło nas kilku pochylonych ku wiatrowi przechodniów
Pachniało deszczem i hamburgerami
Dziewczynka stała nieruchomo, z twarzą
Ku zbyt wysokiemu oknu
Światło gasło, zapalało się, krztusiło
Nie było tu nic, co mogłoby wzejść życiem
Ale ludzie czekali, a myśmy szli

I znowu głowa dnia

I znowu głowa dnia
Spadła w puste dłonie
Ugięty pod ciężarem
Prowadzę samotność na drugą stronę ulicy

Pod Ścianą Wschodnią w Warszawie

Kobieta spaceruje śródmiejskim pasażem
Rozgląda się znowu wraca
Co chwila patrzy na zegarek
W otchłań czasu obcą jak przydrożny neon
A potem spokojnie odgarnia łzy z twarzy
Przypatrujemy się sobie wyrozumiale
Ona zapala kolejnego papierosa
Ja wycieram sobie twarz przekleństwami

Apteka

Gdzie jest apteka na jakiej ulicy
Skulona idzie miastem młodziutka umarła
Staje za mną i chusteczką wypędza wiatr z oczu
Jak żal im siebie kiedy z pustych ust
Wysypują ciepłe pierze życzliwości
Z nadzieją na ramionach ktoś wyfruwa
Jakieś obce choroby jednoczą się
I mówią wieloma głosami
Mijam puste serce co zwierza
Powoli dwa zmęczone trwania
Przechodzą niewidzialni cicheńcy i krusi
Gdzie jest apteka na jakiej ulicy
Jeżeli tam nie byłeś musisz wejść
I stanąć w ciepłym oddechu młodziutkiej umarłej
A jeżeli tam byłeś nie zadawaj pytań
Jak ci dwaj staruszkowie co stoją przed tobą
Wsparci o jedną łaskę

Tu nie ma żadnej apteki
Tu nie ma nawet ulicy
Tu jest miejsce do stania
Chwila do umierania
Ziemia do zasypania
Pamięć do pamiętania

Prośba ziemi

Tak się stopami zapałem
Tak w glinie tkwię tak się trzymam
Że w końcu słyszę jak ziemia stęka
I prosi łagodnie:
Bądź lżejszy, bądź

Samotny poranek

Spodziewałem się tego
Tak ja się tego spodziewałem
Dziś też jej głos
Nie podał mi ręki

Z mojej rozpacz

Z mojej rozpacz nie róbcie sobie nic
Ona karmi się nie spełnioną goryczą

Gdybym cierpiał aż do uschnięcia
Krzesło by powiedziało: jest mi lżej

Radość idących łąk

Będzie nam syto tej wiosny
Bo ciebie jest dużo
A trawy zachłanne
I ciemność podskórnych wód

La lumière morte

1

Uchylasz z lękiem drzwi Prowansji
I nagle w głębi pól widzisz starego van Gogha
Stoi twarzą do światła maluje mozolnie
Smutek domu obłąkanych w Saint-Rémy
Jakby odwijał bandaż z okaleczonej głowy

2

A ona idzie do nas z każdej rzeczy widzialnej
I stawiając wysokie mury ze światła powtarza:
Kurz życia zasypie miastu oczy
Lecz ziemia nigdy nie jest ślepa
I cieszy się swoimi ludzkimi imionami
Nawet gdy w rękach wiatru przesiewa kamienie

3

Więc stanęliśmy przed miejscem które nas sobie wypatrzyło
Gotowi zdobyć mur z kamienną wieżą
Po której teraz wspina się zielona jaszczurka
Podobna ruchliwej źrenicy lub małej łódce
Z wiosłkami pazurków

4

Lecz trzeba zdobyć i drugi mur
Omuśnięty wiatrem spod Les Baux włóczką rzeki
Po której ciągną barki pełne soli

5

Twarz Aigues Mortes w bieli brzegów
Przystrojona przydrożnym powojem
Co cień płatków kładzie szary
Na spragnione usta Prowansji
Kamień w kornecie

6

Powiedział do Tadeusza i Krystyny:
Jeżeli pogoda nas ku sobie przygarnia
Pozostaniemy razem bo nie może być odepchnięte w ciemność

Ciało naszego wędrowania
Lecz zaraz skrył się w sobie myśląc:
O jak te słowa pięknie do siebie klepią
Wszystkie srebrem umazane jak tampon
Którym pamięć przeciera swoją zranioną skórę

7

Miasto cierpiało lecz drugi mur został zdobyty

8

Nie bądź cieniu słoneczny zwyciężcą chwili
I nie ciesz się na nowe dłonie do oklaskiwania
Krzychało łagodnie słońce
Popędzając drogi Prowansji na służbę pagórkom i dolinom
Co wytrwale nas kolebią
Ku błotom melancholii ku kamieniom kruszącego się piękna

9

Krystyna się śmieje Tadeusz fotografuje:
Arles o twarzy kapryśnego dziecka
Posypane światłem Święte Marie Morza
Smutek Cyganów
Młode ciało doliny pod wielką rzeką
Jeżeli mnie słyszysz, Ty, ucięte ucho szaleńca
Oto jest ona źrenica Ziemi i grzechotka Boga

10

Powiedział: zdobędziemy i ten mur
Czyż wielkie pragnienie nie skacze wyżej
Niż spłoszony likom?
Przychodzę z kraju co zawsze bierze więcej
Niż może udźwignąć
Katowanego deszczami mgłą i szaleństwem
Co przez stulecia usypuje dwie groble dławiącej goryczy
Bo nie ma innej drogi: pokora lub bunt

11

Więc należało zdobyć trzeci mur

12

I właśnie wtedy śmiech Krystyny wskazał szyderczym palcem
Tam gdzie napadnięci podwyższali w pośpiechu
Czwarty mur
Jakaś kobieta rzuciła wielką różę czerwonej pierzyny

Jakiś chromy podparł mur swoją laską
Jakaś dziewczynka w czerni płakała stojąc nieruchomo
Ale tylko ona jedna

13
Wznoszony mur też został zdobyty

14
Tak oto weszliśmy
Do głuchej kamiennej nawy w której porządek
Trwa gładko zasłany schnącymi pejzażami
Wiatr zgasił ptaki lecz słońce dalej czuwa
I równina wciąż wyciąga swój spękany język
Na którym Bóg kładzie płatek światła
Pod błękitne podniebienie

15
Zdobyć to nie jest nic powiedziały mury
Teraz trzeba tu żyć
Z tą ostrobramską mową z tym mysim piskotaniem
W ojczyźnie jak stara szafa otwartej dla szalonych
Gdzie wiszą wciąż te same imiona, pstrokate piórka, widły
I zapach słonej chwały pokonanych

16
Sól nim uszczyplnie w język
Musi przejść wiele wody
Znużone niebo nie pyta dla kogo świeci
Ani szara źrenica słońca za kim patrzy
One po prostu są

17
Prowansja, zawzięta melancholia
Prowansja, wolność traw i obłoków

18
Więc zdobyliśmy te mury i teraz czekamy
Czy wezmą nas za swoich czy za nieprzyjaciół

19
Pierwszy mur i zaraz śmierć, słycać kroki
Wstań Krysiu patrz prowansalskie obłoki

Drugi mur i zaraz śmierć, martwa woda
Siwieje Tadeuszu nasza pogoda

Trzeci mur i zaraz śmierć, uśmiechnięta
Z jakiej łąki skubią trawę twe koźleta

Czwarty mur, słoneczny mur Krysi
A wieża nad nim jak ból tępy wisi

Piąty mur i zaraz śmierć, kopytkiem grzebie
Patrz jednorożec leci po prowansalskim niebie

20

Skoro jednak widziałeś uciekające drzewa
Skoro nawet brwi jezior marszczą się z bólu
Skoro się dopłakała radość twego wędrowania
Skoro musiałeś upaść, zmuszony
Zmuszony stracić siebie pośród gwaru handlarzy
Niechże i ono niechże i to słońce okaleczone
Wylizuje własne rany

21

Lecz ona powiedziała jakby nigdy nic:
Ja pewnie nie dożyję kiedy te mury
Rozstąpią się same przede mną
Ty Tadeuszu nie znasz prostej pieśni
Wczepiłeś się jak chłop w szypułę worka
Lecz nie masz siły rzucić go na swoje plecy i nieść
Są jeszcze natchnienia ziemi
Co cierpliwie czekają na imię człowieka
Jak choćby to światło przytrzaśnięte drzwiami zmierzchu
Za którymi Bóg krząta się po gospodarsku, i stary van Gogh
A do mnie powiedziała: stół tej jesieni
Nakarmi głodnych i roztrwoniony zostanie
Nadmiar czekania
Gdy trzciny cheszą różowe włosy flamingów
Nadchodzi pora zgody
I wiatr obejmuje ramionami
Butwiejące ciało Camargue
Śmierć nie wybiera umarłych ona szuka żywych
Jak dziewczynka co w szafie z sukienkami
Przebiera za najlepszą dla siebie urodą

23

Lecz wciąż jest tyle pragnień nie spełnionych
I wciąż jest tyle światła gasnącego
Ziemia obraca kośćmi także tu

Nad martwą wodą czasu
W której się przyjdą obmyć nasi bliscy

24
Powiedział: zdobędziesz i ten mur, ty również
Każdy go w sobie ma chociaż nie postawiony

25
I znowu słońce szło do nas z każdej rzeczy widzialnej
Jakbyśmy udawali że dla jednych wciąż tylko idzie
A innym wciąż tylko przepowiada

Żyję w przepaści domu

Żyję w przepaści domu
Staram się kochać pychę i ruiny
Ledwie z bukietem stanąłem na balkonie
Skoczyła w dół róża samobójczyni
I niezabudka, dla której błotem były moje dłonie.

Czas utracony

Głęboki sen namówił mnie, żeby gałązkę
Podnieść i w oczach ogrodu spotkać własny cień.
Jak ciężko płaczą drzewa wiśni, a moje pragnienia
Poruszone przez szept spaceru idą powoli.
Już między nami nie będzie miłości.
Dzwon wieczoru śmieje się nad majestatem dotyku.
Więc budzimy się wołaniami twardego języka, jak dwa lelki,
Które zaczynają się śmiać nad brzegiem pościeli
I nagle uciekają w ciepłą zamięć zielonej wiosny.
Czujemy się jak przestępcy w domu spragnionej,
Gdzie pozostawiono zapaloną lampę, aby przedmioty
Mogły chodzić i szukać ciepłego popiołu,
Ponieważ miłość pozostawia ślady także w ogniu.

Próg

Opowiedziałem tyle, co potrafię.
Gaśnie lampa, zastyga wieczór i krew.
Będziemy się tlić jakiś czas
Dla wszystkich spóźnionych,
Dla róży i dla ogniska.
A kiedy trwanie weźmie nas w swój kurz,
Przecieknie przez moje serce
Tylko płacz skowronka.
Potem powiem niezdarnie:
Było mnie dla ciebie na cały dom,
Lecz dobrze być choćby progiem.
Tak, ale dla kogo,
Skoro nawet nasze głosy
Więzną w powszednich zasadzkach.

Wigilia z pustym krzesłem

Gwiazda się betlejemska ciemnym światłem pali
Prosiłem: nie gadajcie, jednak nie usłuchali –

Rozwłóczą

Przytułek ciszy

Milczy wiatr i upał bezszelestny
Podaje ustom odchodzącą miłość
To ktoś wielki co stawia stopę w kurzu
Żeby zatrzeć sierpniowy ślad
I uczynić z mego ciała ofiarę posuchy
Tyle musiałeś się naczekać, mówi,
Tak wielkie oczy wypłakać
A jeszcze nie masz prawa sięść
Do wspólnego stołu
Kiedys z całego ciebie
Zostanie tu tylko głos
I nawet deszcz go nie przytłumi
Ale wtedy nie usłyszycie ani ty ani ona
Jak dwoje listków co musiały przystać
Do suchej gałązki
Tego szargania ust o wyschlą chwilę

Bo kiedy z dwóch czułości
Wolność wybiera wszystkie
Idziemy pić tam skąd jeszcze nikt nie pił
I gdzie nie słyhać nikogo, nikogo

Oschłość

Dzień, w którym nic się nie stało,
Stracony w naszych słowach szept
Obsypał szronem drogę ku tobie,
Byłaś o wyciągnięcie dłoni.
Nie znałem jeszcze tej pustki w sobie,
Co trwoni dobro, a w zamian nie daje nic.
Staw dnia patrzy na mnie okiem bezlitosnym,
Wezwane na świadka dno powtarza:
Rzucił się gwałtownie, ale fale tego dnia
Nie rozchodziły się, lecz schodziły
I w końcu nieruchoma szyja
Uwięzła, nawet woda płakała
Nad jego losem, tak był szalony i pewny.
Tego dnia odszedł, nie stało się nic
Równie pospolitego, szron
Uciekał przed słońcem, droga
Obsunęła się spod nóg, staw
Gładził wodę dłonią wiatru.

Pieśń snu

Zapytajcie gospody dlaczego spłonęła
Niech się niebo otworzy wszystkimi ustami
Ktoś wędruje lecz ktoś drugi może tylko stać
Zapytajcie bezruchu dlaczego jest w ruchu

Żyję w tym związku długo i mało rozumiem
Bóg jest wielki i dłoń nieba wielka
Kiedy zagarnia nią wszystko co mogę zobaczyć
Obraz wydaje mi się niemy lecz spełniony

Są jakieś królewskie zamki do których nie mam prawa
W nich trwanie nie trwa ale się osuwa i sypie
Jakże mógłbym wyznaczać granice ukochanej
Skoro nawet chleb nie ma tu miejsca i rozkosz

Muszę

Kochałem i ja
Zachłanny śmieszny i szczęśliwy
Lecz teraz gdy serce moje przystanęło
Jestem spragniony ciszy
Jak ciało, któremu rozkosz daje głos,
Szpital istnienie
Sobie nie jestem już potrzebny
Ale muszę żyć dla tych,
Którym serce jeszcze nie urosło
Gdyby chociaż wiedzieli,
Że już i po mnie przelatuje zimno,
A mojej biedy nie może chronić
Ani płaszcz, ani rękawica

Otchłanie moich dni

Otchłanie moich dni kamienie moich łez
Ciemne jaskółki twoich powiek biedne uśmiechy
Poruszenia moich pragnień widma twoich oczu
Dumne palce twoich dłoni milczące symbole
Oczy twoich pożegnań uśmiechy moich kłamstw
Ciche przepowiednie twoich obrazów, białe trwanie
Otchłanie moich dni kamienie moich dni
Otchłanie wspólnego buntu, otchłanie, otchłanie

Zbyszkowi Herbertowi

Był kos
a nagle zabrakło kukułki

Ucięli wszystkie drzewa
a nagle wyrosły od koron

Korzeniami w dół
poszły nieszczęśliwe kobiety

Dzisiaj księżyc wahadło nieba
zagasa powoli kolebany na jutrznię

a potem się rozświecła
jakby mu matka mówiła: obudź się synku

Trzeba świecić na grzech

Pierwszy

Oparta o niebo mórka przeszkadza otworzyć drzwi Bogu. Odemknął je tylko na szczelinę, obraz zatrzymał tę chwilę i w niej się dzieje.

Ochra atakuje najbłękitniejszy błękit.

Czerwień ustępuje przed bielą przylaszczki.

Życie zieleni wciska się w szczelinę pomiędzy Bogiem a barwą i życie nie ma nic do powiedzenia.

Weź to wszystko krzyczy Bóg!

Nie wezmę krzyczy mórka!

Na szczęście wygląd stale jest wolny w prawie i kto się nie poniży, nie musi kłamać.

Drzwiom pejzażu mórki udało się przytrzasnąć trochę fioletu, ochry, trochę fiołka alpejskiego.

Dłoń zamknąć jakież to proste! Ale uciąć myśl?

Mórka się uśmiecha. Pokonać przestrzeń to zdobyć pewność, że kamienie leżą a wiatr leci.

Ale Bóg mówi inaczej: ten kto ze mną jest jest wieczny, ten kto przeciw mnie nie będzie się uśmiechał.

I mórka się śmieje. Pamięta tramwajową jazdę do szpitala, gdy to czynownik chcąc zmierzyć się z losem nie ustąpił miejsca, a cierpienia całych plemion uznał za donosicielstwo. Na szczęście obrazy mórki zgrzytały wtedy nie złudą tęczy lecz pewnością. Mówiła: wynosić ideę ponad pracę to jakby cenić rozkosz a gardzić porodem. I zaraz dodawała: i chcą, żeby to namalować. Lecz czynownik siedział dalej.

Mórka się śmieje, Bóg też się śmieje. A potem grozi palcem: ty wiedziałaś, że za moimi drzwiami też jest perz, i ja wiedziałem, że za twoimi drzwiami też jest jemiola, ale to wcale nie znaczy, że za naszymi drzwiami jest ocalenie.

Mogłabym cię namalować, powiedziała mórka. Tylko otwórz. Ziarno posadzone w ziemi daje łodygę i plon, a ty jesteś znużony i brzydki.

Proszę, powiedział Bóg, widzisz, tu nie ma tak wiele, ale wejdź, wejdź. Maluj. Skazani chcą wierzyć i cieszyć się. Ja też. Bądźmy razem, żywa pieśń i usta.

Drugi

Nie będę się płaszczyć mówi przedmiot do swego brązu.

A ja ciebie nie złamię wrzeszczy błękit na nieśmiałą zieleń.

Do skłóconych doskakuje czerwona ważka podobna do nożyczek i ciach, ciach, tnie, aż na dolinę wieje.

Smętula języczy ważkę w kamień przycupnięty na bucie góry jak pompon przy boskim kapciu.

Gdzie trzeci korzysta, tam dwóch się wybije.

To i w zgiełku barw bystrych jak szable, ruchliwych jak łuski, te małe lusterka, którymi woda przykrywa pstrąga, w zapamiętaniu wszystkich sukien ziemi, w ich dumie ledwie skrywanej, barw ukrytych za każdym pyłkiem, łądyga, drzewem (niby partyzanci, co się zaraz rzucą na wroga armię światła), z głębi tak głębokiej, że można dłoń zanurzyć w obrazie, i ukryć się w nim, obmyć i oczyścić i jeszcze nie będzie dna, bo ona przecieka nas samych i naszych najbliższych, i ziemię rodzinną, a także jej boga podziemnego, i dalej będzie głęboka.

Z tej wyśpiewującej się doliny, po której biegną smętule i nad którą ujadają brązy, błękity i czerwienie, mórka wyczarowuje postać kobiety.

Schodzi z wysoka, z czułością patrzy na przestrzeń, którą musi pokonać, Matka Boska Wielkopolska.

Weź sukienkę ze stokrotek szepczą łąki

Zalóż chustkę z koniczyny brzęczą trzmielę

Przepasz się zieloną Wartą

Nie stąpnij na kolec wieży

Odpuśćnij w mojej pościeli zaprasza zmierzch

i uległe mórce kolory rosną najpiękniej jak potrafią, kto nie wierzy, niech zapyta wieczności w Poznaniu.

Trzeci

Świt zbudził się ze śmiechem.

Postawił lewą nogę w błotach Podlasia, dotknął łokciem lasów tucholskich i przeciągając się na wszystkie ręce i nogi zaznawał wielkiego szczęścia.

Dookoła pościel Gniezna. Zapach Kruszwicy.

Mórka patrzyła z wyrachowaniem, bo nie jest tak, że byle jutrznia zaśnie na obrazie i nikt jej nie powie.

Kaczeńce też zółkną jak różaniec przebierany rękami chłopka.

Tego dnia mórka biegnąc modliła się do brzegów.

Jeden piskorz – jeden grzech...

Dwa kaczeńce – jeden głód

Dwa głody – trzy mosty...

I mórka chce to ująć w dwa nawiasy świtu: pierwszy wielki jak hangar, drugi wąski jak miedza!

Obraz mórki nie z tego rośnie, że wierność określa prawdę, a zdrada jest kłamstwem. Czymże więc byłaby muzyka ruchu, co ponad harmonie wynosi rytm?

Wiecznością przeżywaną za życia!

Natura też jest ułomna.

Mórka maluje więc klepsydrę jako znak równowagi i ogień jako ślad chwiejności.

Świt między nimi przeciska się z uporem jakby stale nie wiedział, że wszystkie pejzaże niosą na swoich plecach niebo.

Czwarty

Nad jej głową lata błękit, jakby ptak był pędzlem przestrzeni. Powietrze nachylone wiatrem bez wiatru, siłą bez siły. Oprzeć miecz o czułość – będzie się stale chygotał.

I nagle, skąd? z jakiego wyroku? głowa mórki toczy się po kamieniach. Ledwie urosła, a jest z ojca góry i z matki równiny, ledwie się wykrztusiła z krzyku, już wyłorzczyła się rzeką.

Mórka mówi językiem pejzażu. To jest bardzo polski język, z brzęczenia i mgły język bogów.

Czarne oko mórki niebieszczej chmurki

Złota łezka miodu od zachodu do porannej sygnaturki

I jest noc przez którą światło się przeciska jak szaleniec przez okopy metafor. Zdobył jedną i – dalej! – krzyczy. Więc ziemia mu podaje kłodę pod swój kwiat. Upadają: szaleniec i stokrotka.

Pędzel mórki pęcznieje we współczuciu.

Chciałby namalować: mówię radością, jednak kolor ciągnie swoją melancholię i pejzaż jej ulega. Na końcu obrazu, na tym końcu, który jest we mnie, musi się stać rzecz nieskończona:

proszę żeby mnie zrozumiał

odwraca się do mnie plecami

ty będziesz mówi moją nieskończoną rzeczą

Uśmiechnąłem się, mórka poznała we mnie tę bezradność.

Nie – powiedziała, lepiej patrz jak przez życie obrazu przelewa się radość, choć ratownicy na tratwach języka unoszą się jak skazańcy.

I oni naprawdę płynęli, i mórka naprawdę płakała.

Piąty

Dolina już namalowana a jeszcze bez znaczenia, czeka na rękę mórki jak dziecko na ojca. Dolinie przyda się dzisiaj tęgi klaps, uderzenie słońcem, po którym zarumień! się góra, bo góra od tego jest.

Mórka kładzie umorusany palec na usta stawu

Trochę tak trwa, a może dłużej, bo drzewo straci pamięć i las wyśpiewa pieśń, a czasu nikt nie pozna, nawet pędzel malarza, co ważką, płomyczkiem z powietrza ulepionym, chybocze się nad ogniem.

Światło nasłuchuje się obrazu i dla mórki nic się nie stało, tylko pnącze zawinęły się jeszcze raz wokół swego losu.

Ho, ho! – śmieje się pejzaż.

I zza sztachetek – palców mórki wyskakuje ogród. Jak ona to zrobiła – wrzeszczy – czym światłem weszła w dolinę? To ja nie mam prawa, żeby ona miała wolność?

Właśnie z kamieni, popiołu, umbry, martwicy wywija się życie. Jest wesołe, bo wesołe są wszelkie ogrody i drogi, i ognie, które tu chodzą. A nie ma weselejszej chwili, niż płomień róży poganiany wiatrem.

Obraz doliny płonie.

Mórka palcami dusi czerwienie, żółcie, wstydlive brązy i zazdrosne róże. A obraz dalej płonie, więc strażnikiem prawdy mórka ustanawia naprzód staw, potem stygnącą rzekę.

I nawet gdybyś wstąpił w ocean – mówi obraz – nie zaznasz ciemności.

Ta rzeka spada z góry w dół, choć przecież – tak się wydaje – mogłaby się wznosić. Mórka zna poezję wznoszenia, na końcu której wiatr hula i wolność z niego zatyka obraz skoblem imienia.

Ale ona nie chce teraz myśleć o sztuce, ona myśli o życiu. Tu nawet schody cierpią na podrzędność. Schody w dół – myśli – wschody dokąd?

I obraz dostał kaganiec! Wesoły, ale kaganiec.

Roztropność mórki: góry, dolina, ogrody, staw – Bóg nimi włada. Czasem się podzieli.

Czarna twarz pagórka, wydęty policzek, i czeka, czeka...

Sobota

To kudłate zwierzątko, którego nie widać, a którego się boimy, i znać kiedy strach w nas jest –

Ryjkiem cię trąca po zbolącej nodze?

To tylko mały homon, nie przejmuj się

Pazurkiem wdrapało się w twoje serce?

To tylko biały blut, ale bądź ostrożny

Weszło w ciebie i nie chce wyjść?

Nawet gdy cierpisz, jak biel przy czerwieni, jak ciało przy słowie, jak język przy zębach?

O, miej się na baczności, to może być kan

Ale obok rzeczy bywają przecież pytania

Radzę ci, weź w usta najmniejsze ze słów i daj mu wiarę

Być to nie znaczy istnieć, żyję pod gwiazdą która się rozpada,

Jej światło wciąż świeci

Więc miej się na baczności, ale miej się w świetle

Obraz, który się teraz dzieje, gwiazda

Kobieta idzie szarym wąwozem ulicy, niesie na plecach wielki płomień podobny do tobołu lub różańca. Ziarnka o twarzach pszczoł zapuszczają w powietrzu korzonki brzęczenia i jest tak, że w przestrzeni rosną wielkie drzewa. Muzyka rośnie, aż w donicy placu rozkwita Bach. On też był okaleczony, a jednak kwitnie. Bo obraz nie tym jest co jest, lecz co się zdaje.

To była gwiazda z pulsującą powieką zmierzchu

Będziemy żyć długo mówię i nie wiem jak to powiedzieć

Homon przycupnął pod tym zdaniem, przestraszony?

Biały blut przykrył się parasolem pytajnika?

Kan rozmazuje paletę i krzyczy: więcej czerwieni?

O nie, mórka nauczona, że chwila to wieczność przywołuje na świadka swój pędzel

Oto kwiat, mówi, kwiat o tęgiej łodydze

Kudłate zwierzątko, nadzieja skazanych

Malowanie... malowanie... Pędzel zawinięty w białe prześcieradło jest jak żywe ciało okryte szpitalem. Wielka posoka krwi rozmazana po wszystkich pejzażach ziemi nie jest dla niej wyrokiem. Mórka to wie, mórka, której paletą jest serce.

Stu skazanych – jeden ocalony.

Jeden szczyt – dwie góry.

To jest naprawdę piękne, kiedy góry biegną na pomoc swoim dolinom. Ale żeby dobrze widzieć, nie trzeba się bać.

1978

Brzeg do powrotu

Ta gęsta podróż obudziła mnie na brzegu
Pełnym alg i oślizłych skorup
Nie wiedziałem gdzie słowa mnie zaśliniły i zagnały
Były zarówno uśmiechnięte i pełne goryczy
Wiktor powtarzał żebyśmy wrócili jak to syn
Powtarzał tam żebyśmy gdzie nas jeszcze nie było
Ale ja nie wiedziałem jak to ojciec
Gdzie nas jeszcze nie było ani też
Nie wiedziałem gdzie nas było
Nie miała też snu rozkosz
A ciało uwięzło w myślach
Wierzba chce wody żeby się rozwierzić
Pies napęcznienia żeby się rozwiększyło i skleiło
Słowo potrzebuje wolności żeby ją wypełnić
I wyznać: jestem dopełnione
Przez ten cudowny gwałt

Urodzę suczydło
Utopię w oceanie Alga i Omega

Czerwiec i grudzień

Miasto okaleczone, usta chorej ojczyzny.
Jakiś pyszałek władzy otrząsa ręce ze krwi,
a sztandar, którym wzgardził,
przez długie lata będzie niósł wstyd na sobie.

Jest grudzień, pod niskim niebem zdrady
płacze kobieta, w jej żalu
liść zastrzelony w czerwcu
śniegiem długo kołuje, jak uliczne pośmiewisko.

Morze krzyknęło, lecz wolność jest daleko i nie słyszy.
Z trupami okrętów na falach
rozkołysała się śmierć,
zalotna jak wigilijna niespodzianka.

W błocie z ziemi i krwi, w urąganiu,
gęsty cień się położył, tortura i gwałt.
Zostałeś, chłopcze, oszukany i zdradzony,
a miejsce twojej śmierci pozostanie skargą.

Tak rozpaczła kobieta w pochodzie nienawiści
i nie był dla niej pociechą dostoyny śpiew
ani miarowy marsz milczących braci.

Tu poległ, tu oddał życie
dla szukających zgody, lecz godność nie była ich prawem.
Jakby serce ojczyzny na chwilę przystanęło
i jakby prawda mogła rosnąć tylko ostem.

Więc szli dalej, i dalej szli we krwi,
w bezbrzeżnej przemocy, bezwzględnej i niemej.

Z notatek grudniowych

Żyłeś nadzieją i osamotniony
Wśród wielu ludzi głodnych oszukanych
Jakby dobro nie potrafiło mówić
Jasną dla wszystkich i pragnącą mową
Tego co chciałeś powiedzieć nie jest wiele
Szloch wdowy skarga struchlałej kobiety
Znienawidzona pokora wolności
Zwyczajne kruche przywileje oszukanych
Lecz słowo nachylone ku współczuciu
Nie chciało być uległe i wzywało do obrony
Płacz najstraszniejszy płacz bez łez
W niemocie dumy tak cichy
Że słyhać tylko głucho dudnienie ziemi
Co spada na trumny poległych
Jakbyśmy wszyscy mieli kiedyś stanąć
W bladym ogniu pamięci wszyscy razem
W tej okrutnej przestrzeni po której krążą
Śnieg śmierć i wojskowe patrole

Otwierając żęby czytać tomik wierszy

Odchylam na chwilę gałąź do ogrodu
W którym na całą wieczność zdrzemnęły się słowa
Razem ze swoim ojcem matką lub wygnaniem
Śpią po cichutku i mocno czekają
Aż się krople z gałęzi otworzą jak oczy
Kogoś jak ja zadziwionego nad mapą pogody
Pełną i niebotyczną do Plejad
Lub wyżej bo umiłowanie sięga po piękno
Małej stokrotki i starego progu
Przez który śmierć słowa boi się przestąpić
Bo wie że ja tu czekam z otwartą książką
I właśnie dam życie które kiedy je daję
Tak ja daję życie wierszom w otwartym ogrodzie
Poeta zdrzemnął się na małą chwilkę
Z trumienki sonetu z cmentarza ballady
Jarosław wstaje i dźwigając niebo
Wypukła je własnymi plecami dźwiga dźwiga
Aż się oderwało od zglinionej ziemi
I w szczelinie blasku odezwał się tkliwy głos
Iły skowronki co mi na głowę sypię
Złoty kurz mleczków wielkopolskich
Podając dłoń ku ścieżkom
Których nie zazna żaden sandał
Nawet Twój Panie bo taki schodzony
Jarosław śpi w oktostychach
Iła złożyła głowę na krzemieniu drogi
Ale jest jeszcze Arnold co usnął
Plecami do wszystkich opuncji
Odchylam na chwilę gałąź do ogrodu
W którym na całą wieczność zdrzemnęły się łzy

Muzyka dla Anny Bochman

dawno jej oczu moje nie widziały
uśmiecha się północ ciemnymi oczami snów
bratki jej oczu skrzydło jej ciemności
chłostające mnie z daleka i mocno
a tu głuche ucho nieba z kolczykiem księżycy
och jakże by tu mogło księżycy zabraknąć
dawno jej oczu moje nie widziały
liścik derenia przyłasił się do sandału
kiedy dzikie rumianki wchodziły na stół
i tu piły z jego ręki soczyste napoje
kiedy nie mówiąc nic tylko karmił
bezbrzeżną ziemię swej miłości
i całą chwałę swojego poddania
po którym tylko bezbronność została
i śmierć w jego ciele to głośne wołanie
nie do usłyszenia co o świcie
zachwyca się lasów wielką zorzą a potem milczy
i dalej wciąż milczy milczy
w zmiennym rytmie mijanego czasu
dawno jej oczu moje nie widziały
dawno widziały dawno nie widziały
te rzęsy rumianku wierzbiniki współczucia
co się kłaniają pierwsze nim podmuchi wiatr
dawno miłości moje oczy nie płakały

lipiec 1987

Zielona sukienka

A. w zielonej, kwiecistej sukience. Tak klarownej i przejrzystej, że gdyby sen szukał porównań, mógłby je znaleźć tylko w dwóch znanych mu na świecie miejscach: w holenderskiej depresji i w mongolskim dorzeczu Selengi. A. w tej sukience, niewyobrażalnie pięknej w połączeniu z jej ciałem, pojednana w tym zdaniu, tu teraz, przecież szalonym, ale możliwym, bo jakże by sen śmiał widzieć poprawnie i wypowiedzieć się składnię? A. w tym śnie, ta sukienka z kobietą, te ich powidokowe mignięcia przed moimi oczami, co śniąc zarazem widzą śnione, wybiega, one dwie wybiegają, zielone, i natychmiast jest ulica, i ja, moje oczy, skryci w niej, schowani za jakimś autem błękitnym marki audi, słuchamy, kogo z nas ona zawoła, może tego, którego pragnie, albo tego, co potrafi ją rozweselić, albo jakiegoś innego, o którym marzy, żeby po prostu był, wielu z nich, wielu w nieprzeliczonym w tej chwili, dla niej, oczekiwaniu, jednak żadnego nie ma, i tyle jej piękna, myśli, sen, marnuje się, jej światła i jej sukienki, a także zieleni, która się rozgląda, dla kogo mogłaby być jeszcze zieleńsza, a jednak sen, i jego oczy wciąż nieśmiałe, nie chcą się do niej ani do siebie przyznać, tylko skrycie patrzą, jak A. się rozgląda i mają w tym wysoką radość, jakby wiedziały, że to, co szuka, jest zawsze żywsze od tego, co czeka.

Zdziwienia

– Dziękuję ci, A., za ostatni list. – Jak to, nie pisałam już do ciebie kilka lat. – Dostałam list, zaraz ci pokażę, no?

A. patrzy na niedbale nagryzmołoną kartkę papieru.

– Jesteś pewny? Ja rzeczywiście to wszystko myślałam, ale żeby pisać?

– Wczoraj za wycieraczką auta znalazłem różę, bardzo dziękuję.

– Różę? — Zaraz, zaraz, kiedyś zostawiłam różę za wycieraczką starego chevroleta, ale to nie było dla ciebie.

– A ten telefon? Przed godziną dzwoniłaś, wyznając mi miłość i uwielbienie. Nie wiem, co się stało, ale wreszcie usłyszałem słowa, na które czekałem przez długie lata.

– Ja? To chyba jakaś pomyłka. To nie mogłam być ja!

– Adres się zgadza?

– Zgadza.

– Samochód taki sam?

– Taki sam.

A. długo milczy, a potem, jakby zawstydzona mówi:

– Wiesz, wszystko się zgadza, ale jeśli tak jest, proszę, wytłumacz mi, ja przecież już dawno nie żyję.

Snutka z chusteczką, na pożegnanie

Moje małe oszukanie
Wybacz Panie
Zrozum Panie
Moje większe oszukanie

Wybacz ją że taka była
Nigdy inna być nie mogła
Niosłeś długo chociaż twarda

Ile grzechu tego nie wie
W moim niech będzie wykupion

Snutka o dróżce dróżence

Biało biało nic nie zostało
Zawsze było za biało i zawsze nic

Co ja mogę
Co ja w drogę

Nic ja mogę
Bóg na drogę
Szczyptę żalu dajcie

Śmierć pocałowała
Kochanka zdradziła
Polska odrzuciła
Miłujcie kochajcie

Co ja mogę
Co ja w drogę

Czerwoniście lecą liście
W liściach kiście bzów
Wdowy płaczą
Wyrazy wron kraczą
Idzie Polak na rakiety
Śmierć jak nic
Jak nic bagnety

Piękna nasza
Polska cała

Biała Polska
Zabrzydziła
Śmierdzi ale rusza w drogę

Co ja mogę
W drogę, w drogę

Snutka dla Ajgiego, czuwaska

Upłakała się moja miłość

Bidadu bidadu

Życie głupie

Piosnka łzawa

Bidadu bidadu

Ile dzieci tyle głodu

Bidadu

Mokotuszka maja

Natolinka maja

Gennadijka twaja

Bidadu bidadu

Da

Snutka z Pustyni Synajskiej

Na listku przejrzycy
kropelka rosy stanęła
uradowana
że jeszcze
nie w piasek

Cóż za radość
tak się ucieszyć
przed śmiercią

1983

Snutka kolei pannońskiej

Zielony śnieg
Białe łąki
Już niedaleko do rozłąki

Stuk puk
Koła kuleją
Na jasny brzeg

Brzoza
Sosenka
Olszyna

Bóg Bór
Sosenka Dziewczyna

Kończy się tak
Jak się zaczyna

Zielony
Białe
Zmartwychwstałe

Kolej do Budapesztu, 26. 10. 1997

Snutka o jabłonce

Niemąla pogoda prószy się na moje plecy
Co one udźwignąć mogą tylko wie jabłonka
Bo ona mnie strzegła na drodze ku tajemnicy
Tu Duch Święty powiedział mi: nie powiesz
nikomu i nic z tego co nas potajemnia
Nasza wiara rosła ukryta
Drażyły się rozpastne katakumby
Szukałem współwyznawców pod całym Ogrodem
A kiedy nie znajdowałem rosy
Duch mi powtarzał: jabłonka jabłonka
wszystko co zapomniałeś wciąż
rodzi jabłuszka
Wstąp Potrząśnij
Wtedy wstyd nad Ogrodem
tęczą się okrył
Skądś szła ale nie miała końca

Schowany w ogrodzie szemrałem: woda chwali
Ogień się wygrzewa miłość milczy
A ten kamyczek przy bramie
po prostu zawadza
Wytrząśnij go ogrodniku ze swego sandału
jak złe słowo wytrząsa się samo z siebie
zanim potrafi modlitwę i w niej urośnie
Ogrodem jabłonnym
W ziele wieków

Snutka z pszczołą

Te kobiety
Takie miodawe jak osy

Cipień w nie wbijać
Słodycz miodu ssać

Aż się słońce zachwycone rozhuśta
Na ogonku dzierlatki

1987

Snutka o trawidłakach

jeżeli moja miłość jest natchnieniem stokrotek, niech
natchnienie stokrotek powiększy moją miłość,
jeżeli moja miłość jest zawstydzeniem mleczy, niech mleko
mleczy nakarmi moją miłość,
jeżeli moja miłość jest westchnieniem słońca, niech słońce
jeszcze ciepłej stanie w moim niebie,
jeżeli moja miłość większa jest niż śmierć, niech śmierć się
podda i przysiadzie trochę,
jeżeli moja miłość jest grzechem, niech rozstąpi się kara i
wybawienie wszędzie nad ugrzeszonymi,
jeżeli moja miłość nie istnieje, niech nieistnienie nazywa
się kocham, jeżeli umarła, niech się urodzi,
jeżeli brzoźka zwiędła, niech wstanie,
niech wstanie brzoźka,
niech klęknie stokrotka

powiedział Pan przed zamknięciem Łąki

Snutka o niebiaństwie

Chcesz mu powiedzieć, że już go nie kochasz,
Szukasz wykrętnych słów, ale sprzętów nie da się oszukać.
Kraży tu gdzieś między nimi obcy Duch Dopomożyciel,
Na wszystkim się znał, tak, znał się na tobie.
Wykręciła się w tańcu okrągłutka miłość,
Chociaż Duch serenady śpiewał
Na jeden francuski kluczyk i dwa śrubokręty.

Weszła Gioconda i myśl się urwała,
Radosna prognoza pogody zamilkła w ciemnym kącie.
Tak jest zawsze, kiedy wchodzi Gioconda, Beatrycze,
Lila, Milena, nie mówiąc o Żulii i Biustoszej B.

To tak się już rozleciało,
Że nawet wejść nie można? I miłości nic, nic?
A gdyby tak weszła Matka Boża?

Ty wielki grzech mówisz teraz, krzywy
i przysiężny aż tak ku tobie nie byłem.
Matka Boża nigdy by sobie nie pozwoliła
Wejść ot tak sobie.

Piosenka głupiów

Na gałązku
Z obowiązku
Ptak
Tak! Tak!

Na stoliku
W pokoiku
Znak
Tak! Tak!

Na ojczyźnie
Orlej bliźnie
Rak
Tak! Tak!

Mieli
Dali
I zabrali

Innym dali
Tak wybrali
Tak! Tak!

Na gałązku
Zeschły listek
Listek
Rzeczypospolistek

Kat
Tak!Tak!

1998

Miłość ze śmiercią

Miłość ze śmiercią tyle ma
Co kwiat z ubłoceniem
Cierpiąc szlam na listkach wydźwiga piękno
A potem kwitnie niczym dusza
Młodej wdowy i staje olśnieniem
Nad czarną aureolą co ma smak wiśniowy

Bielina żółtula
W czerwonym futerale dziobający drozd
Cały ten świat kolorowy

Ale teraz ja właśnie temu wierszowi
Połamalem nogi

Niech kuśtyka

1998

Snutka z Norwida

Ów lud krzywy już nie wie nie wie nie wie

Czas we warkocz skrecony
Twarz Europy i Świata obija,
W gniewie tylko wciąż mielą:
Jezus Maryja Jezus Maryja
Lecz nic nastaje nawet kropla chłodu
Nie wpadła do ogrodu

W kątku drzwi uchylonym
Uśmiechnięta jutrznia i bandyta
Rzecz Cyprianie tylko rzecz
Niedbale zbita tępa i pospolita

Portret Szymona Chłopca przed zaśnięciem

Sto metrów ja,
co dla mnie dwieście metrów
i jeszcze czterysta,
zawsze ja, zawsze pierwszy.
Wygrywam też bieg na pięć tysięcy,
a na dokładkę i na dziesięć.
Trochę mi żal kolegów,
odstąpię im biegi średnie i maraton,
a ja skoczę najdalej ze skaczących
i najwyżej z tyczkarzy.
I znowu ja w rzucie oszczepem,
i moja kula pchnięta najsilniej jak można.
Nie poszło mi na przeszkodach,
ale w skoku wzwyż nie miałem sobie równych.
Chyba skoczyłem za wysoko.
Spadam.

Przebudź się ziemio zwycięzcy.
Daj mi oparcie.

Spis wierszy

Lumpenezje (1960)

ja i domy doskonali jednak
blues
rano, przystając w podwórzach slumsów
miasto, ulice, place
widzenie przedmiotów martwych
ballada o drzewodomach
ballada o kole
requiem dla prostytutki
golemy, kiedy budzi się człowiek
wielkopolska
Mrok
skończony romantyzm
dźwignięty wzwyż
ukształcenie czyli cenzura czerwca
Wydmy węgierskie, 1956
Argumenty, metafizyka dzielnicy
słońce
Granica czerwonego wiatru
Yorick
Strasliwie naga
konstrukcja
Stanąłem obok szkieletu, żeby mnie malowano
dzień gdy przyjdiesz
Listopad
blues II
Karzeł

Wyjście z pozorów (1961)

Rzecz precyzyjna
Widziana w blasku – dla Iki:
Dyskrecja
Egzaltacja
Doświadczenie
Kobieta przypomina dwie chwile podobne
Widziana w blasku
Pejzaż rytmiczny
* * * (*w która przypadło mi uwierzyć...*)
Nadzieja nieszczęśliwie zakochanego
Marsze:
Rekruci
Zamek

Odejście
Pieśń kombatantów
Czwartek w czerni:
1. Statek ulicy
2. Okrucieństwo
3. Linia patrzenia
4. Rozpoznanie
5. Nie wiem
6. Mur
7. Epilog
Na Nike warszawską
Dzielnica aniołów
Jak gwiazda noc
Czerwiec 56, Poznań, rano
Ukrzyżowanie
Umbra
* * * (*Żal mi was towarzysze polegli w cementowych norach...*)
Eroica
Tego samego dnia – trzy lata później, 28 czerwca 1959
Prośba o różę
Pokaz, cyrk, władanie
25 XII 59
Zaproszenie do wnętrza
Tanguy
Z Miró
Budowanie
Nóż
Leopardi
St. Denis
Błażej Szwargoł
* * * (*Obrazy bez wartości...*)

Pożegnanie Norymbergi (1965)
Sny wielkomijskie
Czerwony, piętnasta
Wszystko tu nieprawdziwe
Powszedniość polska
Malowanie wołu, czyli powszechne rozumienie malarstwa
Przystanek końcowy
Ogarniając całość
Kazanie
Raport
Traktat
Pożegnanie Norymbergi
Zgromadzeni w muzeum
Tren II, zamawianie trumienki dla syna
Podwórza dłonie miast

Gęste światło (1965)

Wiersze dalmatyński:

Poemat o skuteczności patrzenia

* * * (*Patrzę w ciebie. Jesteś oknem pejzażu.*)

* * * (*Piękne we mnie, a więc nie istniejące.*)

Akt

Wiersz nieskończony

Palmy

ARS URBIS – Łukaszowi:

Na przedmieściu, Ważyk

Ulicznica Polonia

Metro

Odbite w wodzie

Domy u wodopoju

Budapeszt

Milczenie

Manifest

Inne strony Nochowa

W muzeum Peggy Guggenheim

Naczynie poważne (1967)

Lepra

Krażenie

Wyznania

Iluzjoniści

Rozwiązywanie przestrzeni

Połowa prawdy – śmierć

Dzieci nie bójcie się lwa

Trzydziestoletni mężczyźni

Wołanie sępa

Katownie

Karą śmierci

Joanna d'Arc

Grimau

Geografia rzeczywistości

* * * (*Co ja dla niej stworzyłem tego dnia...*)

* * * (*Nie wiem co zrobię kiedy ona zamarznie...*)

* * * (*Piękne ma naprzeciw mnie...*)

Stałe zajęcia

Kobieta nie przyszła

Piękny epizod

W ciągu słów

Elementarz przestrzenny

Uszy

Sytuacja

Rozwiązywanie skowronka

Sierpień, tętnienie (1975)

Poeta gra kołysankę „czerwone jabłuszko”:

Kołysanka na wiatr

Kołysanka na flet

Kołysanka na obój

Kołysanka na trąbkę

Kwintet zraniony, muzyka według Goyi oraz inne obrazy o Grudniu — Gdyni

Ponizenie, (I)

Wstręt, (II)

Świętość, (III)

Zdrada, (IV)

Gwałt, (V)

Ratownicy

Droga na Kretę

Są słowa oszukane

W świecie realnym

Dyżurujące sumienie odpowiada dziś na listy naszych czytelników

Rozmowa biesów z przytułku zawiedzionych, teatr

Pod górą ze szkła, Praga, 68

c.d. Praga, 68

Czekałem długo w kolejce

Ja, Fiodor Dostojewski

Słowacki witraż

Pięknosłówka odleciała

Kwartał wierszy (1980)

Położ się we mnie

Dwie doby czekania

Drugi głos

Godzina pierwszego śniegu

Przywołane wspomnienie

Der Tod ist gross

Bądź chwilo rozumna

Łzy Seneki

Jedni, drudzy

Płacz

Zapis

Umarłe słońce

Dzień bez źrenicy

Słodycz jesieni

Za późno

Zmowa kwiatów

Miejsce na północy, Wołka Węglowa

Śmierć jelonka

Spacer

Człowiek i drzewo

Obrona starych poetów

Oczy umierającego Wergiliusza

Centaur

La Madonna Nera

Przeznaczeniem ojca jest
Romantycy
Biedni wstają
Wysoko i nigdzie
Martwa natura z miastem
I znowu głowa dnia
Pod Ścianą Wschodnią w Warszawie
Apteka
Prośba ziemi
Samotny poranek
Z mojej rozpacz
Radość idących łąk
La lumière morte
Żyję w przepaści domu
Czas utracony
Próg
Wigilia z pustym krzesłem
Przytułek ciszy
Oschłość
Pieśń snu
Muszę
Otchłanie moich dni

Wiersze rozproszone (z lat 1960–2000)

Zbyszkowi Herbertowi

Sześć obrazów Krystyny:

Pierwszy

Drugi

Trzeci

Czwarty

Piąty

Sobota

Brzeg do powrotu

Czerwiec i grudzień

2 notatek grudniowych

Otwierając żeby czytać tomik wierszy

Muzyka dla Anny Bochman

Zielona sukienka

Zdziwienia

Snutka z chusteczką na pożegnanie

Snutka o dróżce dróżence

Snutka dla Ajgiego, czuwaska

Snutka z Pustyni Synajskiej

Snutka kolei pannońskiej

Snutka o jabłonce

Snutka z pszczołą

Snutka o trawiałkach

Snutka o niebiaństwie

Piosenka głupców

Miłość ze śmiercią
Snutka z Norwida
Portret Szymona Chłopca przed zaśnięciem

